Listopad 1934

NASZA PRZYSZŁOŚĆ

TRYBUNA POLSKIEJ MYŚLI PAŃSTWOWEJ

TOM XL

WYDAWCA I REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYŃSKI
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, ŻÓRAWIA 11, m. 8, TELEFON 9-27-61

Drukarnia Mazowiecka, Szpitalna 1, tel. 649-04.

T R E Ś Ć

„ZWIĄZEK POLSKIEJ MYŚLI PAŃSTWOWEJ".

Z początkiem listopada zatwierdzony został przez władze statut Związku Polskiej Myśli Państwowej.

Tekst tego statutu rozsyłamy Prenumeratorom i Sympatykom naszego wydawnictwa osobnemi przesyłkami wraz z odpowiednią odezwą Komitetu organizacyjnego i zaproszeniami na walne zebranie konstytuujące Związku, które odbędzie się w Warszawie, 12-go grudnia b. r. o godzinie w pół do 7-ej wiecz. w zarezerwowanych salonach Resursy Kupieckiej, gdzie poprzednio urządzane były perjodyczne obiady dyskusyjne Koła Przyjaciół Naszej Przyszłości.

Związek ten, jak naszym Czytelnikom z szeregu poprzednich tomów dobrze wiadomo, powstaje z łona wspomnianego Koła i stanowi prawnie ujęty wyraz faktu, nieraz przez nas akcentowanego, że Nasza Przyszłość jest nietylko pismem, ale i czynem — i tem właśnie różni się zasadniczo od wszystkich innych perjodyków w Polsce.

W nich bowiem główną rzeczą jest artykuł, jako rzecz sama w sobie, chwalona lub krytykowana, ale nie pociągająca za sobą żadnych konsekwencji pragmatycznych. Opinja czytelników aprobuje lub gani dany dartykuł i na tem koniec.

W ,,Naszej Przyszłości" ma się ta sprawa już od wielu lat zgoła inaczej. Tu artykuły — z nielicznymi i coraz rzadszymi wyjątkami — są przedewszystkiem wyrazem czynnej akcji w pewnym kierunku. Niemal każdy artykuł w ,,Naszej Przyszłości" albo zapowiada jakąś akcję, albo przyczynia się w pewien sposób do uzasadnienia akcji, będącej w toku, albo wreszcie przynosi z niej sprawozdanie.

Artykuły więc nasze, choćby najlepsze, są zawsze kwestją stosunkowo drugorzędną, a na pierwszy plan wysuwa się akcja czynna, w danym artykule omawiana.

Mylą się więc ci wszyscy, którzy szeregują nasze wydawnictwo mimowoli w ramach kategorji innych perjodyków i oceniają nasze artykuły—zdawkowym sposobem—według utartej, zresztą bardzo kapryśnej skali „wyższego" lub „niższego" poziomu danego artykułu, zależnie od literackiego gustu danego czytelnika. Jest to metoda błędna, gdyż w wydawnictwie naszem, będącem promotorem i organem realizacji szeregu znanych czytelnikom, konkretnych zadań o charakterze ogólnej użyteczności państwowej, moralnej, społecznej i gospodarczej, mniej chodzi o styl i poziom literacki każdego artykułu, ile przedewszystkiem o rzecz i akcję, którą dany artykuł popiera.

Z tego więc punktu widzenia powinni w pierwszym rzędzie traktować czytelnicy artykuły w niniejszem wydawnictwie. Chodzi o sprawę, a nie o styl i podpis autora.

Otóż ta czynna akcja Koła Przyjaciół Naszej Przyszłości, jako pragmatyczny wyraz aktywizacji pewnego wyższego intelektu w społeczeństwie, nastawionego ogólnie prorządowo, ale działającego niezależnie, własną koncepcją i mocą, a przytem bez hałaśliwej reklamy, zaczęła stopniowo tak się rozszerzać, tak głęboko w różne dziedziny przenikać i takie wydawać rezultaty, że w gronie Koła Przyjaciół N. P. wyłonił się już dawno żywiołowy postulat ujęcia jej w jakieś prawne ramy statutowego stowarzyszenia, aby przez to stworzyć dla niej trwalsze i wyraźniejsze podstawy i uwypuklić jej charakter i oblicze.

Ale, że to ostrożnie każdy nasz krok stawiamy, więc też postulat ten, jeszcze przed dwoma laty w bliższem gronie Koła Przyjaciół uchwalony, leżał u nas do niedawna w stanie inkubacyjnym. Obecnie dopiero nadszedł moment jego realizacji.

A moment ten jest właśnie odpowiedni i dlatego po-

wstanie Związku Polskiej Myśli Państwowej jest racjonalnem i potrzebnem, gdyż gruntuje się organicznie w ewolucji stosunków w państwie. Nie chcemy w tej chwili analizować bliżej tych stosunków i tej ewolucji. Uczyniliśmy to zresztą już niejednokrotnie i dość wyraźnie w ostatnich miesiącach. Dość na tem, że całokształt stosunków wymaga imperatywnie skonsolidowania się organizacyjnego pewnej aktywnej elity wszechstanowej i wszechzawodowej, któraby — nie tracąc czasu na politykowanie i partyjnictwo jakiegobądź rodzaju — stała się ze względów niezbędnej równowagi społecznej w państwie ośrodkiem bardzo mocnej, bezkompromisowej myśli umiaru, ładu społecznego i zdrowego objektywizmu, realizowanej konsekwentnie w szeregu konkretnych zadań o charakterze ogólnej użyteczności państwowej.

Zasadniczą cechą i najgłębszą zarazem racją bytu powstającego Związku Polskiej Myśli Państowej jest wyeliminowanie nawet śladów oportunizmu z jego ideologji i działalności. Uznajemy tylko rzecz, nie uznajemy konjunktur. A stąd wynika w konsekwencji druga cecha Związku, że kiedy dziś wszelkie organizacje polityczne, gospodarcze i społeczne na świecie idą z reguły mniej lub więcej w ogonie rządów, to Związek nasz — podejmując metodę i zadania Koła Przyjaciół N. P. — pójdzie przed rządem!

Tak — naszem specjalnem zadaniem jest i będzie przeorywać i przygotowywać śmiało w różnych dziedzinach grunt, na którym mogłaby z biegiem czasu osadzać się i rozwijać oficjalna polityka państwowa, o ile oczywiście zechce z tego skorzystać. A to samo odnosi się i do różnych zawodowych warstw i organizacji prywatnych w społeczeństwie. I im także staramy się korzystny grunt przygotować, rozbijając taranem różne psychiczne i materjalne przeszkody, na co one, z racji swego charakteru, nie mają nieraz możności lub odwagi.

Nie ulega też już wątpliwości, że taki właśnie Związek

i taka akcja, wnoszące w nasze, powszechnie niepewne, płynne — jak to nazywamy: galaretowate — stosunki w społeczeństwie pewną zdecydowaną myśl i odwagę samodzielnego czynu, są w Polsce potrzebne i konieczne. Nie mniej potrzebnem jest i koniecznem, aby znalazły głębszą zrozumienie i zdecydowane poparcie ze strony przynajmniej tych wszystkich, pozytywnie i objektywnie myślących ludzi, którzy nie zatracili jeszcze tężyzny, nie zgubili się całkowicie w codziennym, beznadziejnym kołowrocie osobistych interesów materjalnych, ale potrafią spojrzeć także i w przyszłość, tę przyszłość konsekwentnie państwu i sobie przygotowywać i z tych wszystkich powodów — właśnie z tych — uważać się słusznie za prawdziwą elitę w nowoczesnem społeczeństwie.

Przyznać trzeba z uznaniem, że zatwierdzające nasz statut władze rządowe — w widocznem zrozumieniu użyteczności powstającego Związku dla państwa — potraktowały tę procedurę wielce życzliwie i w bardzo przyśpieszonem tempie. W przeciągu kilku tygodni od daty wniesienia statut został ostatecznie zatwierdzony i to pomimo, że zawiera szereg specjalnych postanowień, nie spotykanych w statutach innych stowarzyszeń, które więc mogły były dać pole do przewlekłych dyskusji, zastrzeżeń i formalności.

Życzliwa atmosfera dla działalności Związku jest więc bezwzględnie stworzona. Kilkoletnia, bardzo staranna praca przygotowawcza „Neszej Przyszłości" i grona jej Przyjaciół zbudowała mu dobrze wykształcone i jasno określone zadania i metody. Każdy, kto czytał nasze wydawnictwo — ale kto naprawdę je czytał! — i kto zwłaszcza brał udział w naszych licznych zebraniach, dobrze chyba już zna te cele i drogi. Pole więc dla swobodnej ekspansji intelektu społeczeństwa jest szeroko otwarte, a wyjątkowa niezależność, jaką zdobyła dla powstającego Związku dotychczasowa akcja i publicystyka „Naszej Przy-

szłości", jest dla niego w danych warunkach niezmiernie cennym atutem.

Niechże więc teraz elita intelektu społeczeństwa polskiego pokaże na swobodnej arenie prywatnej, czem jest i co potrafi!

Komitet Organizacyjny
Związku Polskiej Myśli Państwowej.

STYGMAT GRZECHU.

W doskonałym przez swą lapidarność i szerokie perspektywy artykule z tomu XXXIX dr. Jan Bobrzyński postawił ciekawy dylemat metodologiczny: igłą, czy przeciwnie siekierą można będzie dotrzeć do jądra, do korzenia ukraińskiego problemu?

Odrzuciwszy igłę naukowej dłubaniny przyczynkarskiej, jako nieaktualną, niesprawną podołać tak olbrzymiemu zadaniu, jął się autor zdecydowanie topora. I wyrąbał nim pierwszy wyłom, wytrzebił nową drogę w plątaninie ukraińskiej kwestji. Drogę, prosto zmierzającą do celu, nie kluczącą chytrze, nie tworzącą zawiłego labiryntu, po którym chodząc, w istocie na miejscu się stoi.

Jakiż jej kierunek? — Kierunek, wiodący do głębi, do istotnej, stuprocentowej treści ukraińskich dziejów i ukraińskiej duszy.

Pod ostrym ciosem topora krytycyzmu, chwyconego pewną ręką dla przeprowadzenia publicystycznej wiwisekcji, posypały się wióry i strzępy z różnych masek i parawanów, za któremi przebiegłość ukryła istotną, niefałszowaną prawdę o ukraińskich dziejach.

Prawda to może na pierwszy efekt smutna i bolesna, a raczej przytłaczająca swym gatunkowym ciężarem, jak każde szczere, treściwe rudimentum. Ale bo też czas był największy wyrwać opinję publiczną z pod złego czaru i władzy przyjemnej, bo nieuciążliwej, małoważkiej fikcji ukrainizmu, czas było zdecydowanym knockautem rozbić ten wydęty balonik ukraiński, unoszący się nad rozległym obszarem ruskiej, ale też i polskiej rzeczywistości historycznej. Ten pierwszy śmiały, celny, pełen poczucia odpowie-

działności cios stanowi bezsporną zasługę wobec historji obu społeczeństw.

Oczywiście cios ten spotka się z dezaprobatą umysłów ciasnych, zakłamanych, zakostniałych w rutynie politykierstwa, dusz świętoszkowatych, bluźnierczo i z bezczelną uzurpacją wołających „świętości nie szargać“. Na takie powitanie musi być przygotowana każda pionierska myśl. Jest pewnikiem, że im goręcej, a nieprzytomniej ją się wyklina, im zajadlej z pianą zaślepienia woła: „Na krzyż, na krzyż!“—tem jest wartościowsza, tem donioślejsze przyniesie wyniki.

Im chętniej i gorliwiej różni pospolitacy chcą zamienić i przehandlować jakąś niepokojącą, chwilowo niezrozumiałą, bo dalekosiężną myśl inną, przyziemną, łatwostrawną, podchlebną, tem bardziej ta pierwsza jest konieczna, wprost zbawcza i dobroczynna.

Ileż to razy w dziejach rozgrywa się symboliczna scena przed Piłatem, kiedy tępota i cynizm kuszą narody ułudnem widmem zła i zbrodni, przeciwstawiając je dobru i cnocie i jakże rzadko epilog wypada inaczej, niż ongiś!

Z tem większą więc siłą i uznaniem trzeba podkreślić odwagę, z jaką pionierski topór autora dokonał egzekucji. Z doskonałą celnością spadł on na rakowatą narośl, przeżerającą historję ruską.

Tą naroślą jest epizod siczowo-kozacki, wydźwignięty przez historjografję i publicystykę „ukraińską“ do miary symbolu narodowego, do wysokości wzoru natchnienia historycznego i wreszcie konsekrowany na podwalinę i kamień węgielny nowoczesnej ruskiej polityki.

Tragiczne tkwi w tem nieporozumienie.

Odsłonił je z pod przykrywki pięknobrzmiących frazesów, rozwikłał z welonów ckliwego sentymentu nacjonalistycznego — ów rewelatorski cios. Istota tej rewelacji tkwi w zdemaskowaniu tego, co przez zbałamuconą opinję poczytane było za zbawienne, przed czem się ona bałwochwalczo

uginała — jako szkodliwej ułudy i, co więcej, strasznej groźby na przyszłość. Jawnem się stało, że groźbą dla dalszego rozwoju narodu ruskiego jest nawiązywanie do „tradycji“ kozackiej, wskazywanie na Chmielnickiego i hajdamaków, jako prototyp herosa i „państwowca“ ruskiego... przepraszam, ukraińskiego. Zwłaszcza, że łączy się z całkowitem nieomal odrzuceniem i zapomnieniem właściwych początków historji ruskiej.

Jest doprawdy tragicznem nieporozumieniem ogłaszanie krótkiego epizodu kozackiego za punctum saliens historji, za fons et petra nowoczesnej Rusi. Czyż to nie wstyd powoływać się na tak świeżo malowaną legitymację dziejową? Nietylko świeżo, ale i krwawo!

Istotą zjawiska ukraińskiego w jego kozacko-siczowych „prapoczątkach“ jest bunt z dewizą „ogniem i mieczem“, jest negacja wszelkiej umiarkowanej, refleksyjnej polityki, jest oczajduszowstwo, odurzone „zaunywną pieśnią“ i wódką, ujmujące świat w oparach pijackich wizji, w których fantastyczna kozacka rzeczpospolita wznosi się na fundamencie lackich kości, z dachem „poszytym żydowskiemi brodami“.

Oczywiście porywa niektórych ta fatamorgana, jakżeż makabryczna i nonsensowna! A jednak na samych rumowiskach i zgliszczach bytu społecznego stworzyć nie można. Polityki na powszechnej negacji i rozbójnictwie oprzeć się nie da.

Kozacki fragment w dziejach ruskich stanowi obcy, haniebny wtręt, jest ich cofnięciem do jakiejś epoki pierwotnego barbarzyństwa, do epoki nomadów, potrosze myśliwców, a raczej głównie z wewnętrznego, najgłębszego gustu łupieżców.

Tuśmy bodaj u sedna rzeczy. Gdy spojrzeć na jaskrawsze ekscesy kozaczyzny, dochodzi się do przekonania, że zawarty w niej byt ludzki napiętnowany jest stygmatem grzechu. Przez jego ogromne, pierwotne pokłady nie prze-

darło się jeszcze światło zbawienia i uduchowienia. Panuje tam mrok przekleństwa.

Krótkowzroczny polityk może uśmiechnąć się nad takiem „teologicznem“ ujęciem historycznego problemu. Kto jednak umie dopatrywać się w fenomenach historji głębszych, powodujących sił psychicznych, ten zastanowi się nad naszem spostrzeżeniem i zanalizuje je dokładniej.

Dla nas dziś, po tylu smutnych doświadczeniach, po tylu krwawych zbrodniach, zrodzonych z kozacko-ukraińskiego światopoglądu, wydaje się nie ulegać wątpliwości, że stawianie za ideał społeczno-polityczny kozaczyzny okrywa jego wyznawców płaszczem tej niełaski, tego duchowego potępienia i omroczenia.

Czyż w takiej potępieńczej atmosferze może się zrodzić jakaś jasna, zdrowa, trzeźwa, l u d z k a myśl? Hoduje się w niej tylko dzika, pierwotna namiętność, straszna, zwierzęca wprost pasja niweczenia, potworna macierz buntu i zbrodni. Stąd zrodziła się i rodzi wciąż cała ta szatańsko złośliwa taktyka menerów ukraińskich, z kozacką fantazją, jak wataha rezunów, idących naprzebój, n a p r z e k ó r ś w i a t u i z d r o w e m u r o z s ą d k o w i, naprzekór najżywotniejszym, najrealniejszym interesom swego narodu. Menerów — układających się i naprzemian zdradzających niedawno zawarte akty i pakty z jednakową nonszalancją, bez jednej trzeźwej myśli, bez przewidywania przyszłości. Najprymitywniejsza myśl polityczna nie trwa tam już nietylko godziny, ale nawet minuty.

Zato niepohamowana nienawiść kwitnie bez przerwy, żarzy się potajemnie w sercach, by raz po raz wybuchnąć niszczycielskim płomieniem.

Z tej nienawiści zrobiono cały program polityczny, który wpaja się młodemu pokoleniu, jako jego katechizm patrjotyczny, jego ewangelję państwowo-twórczą. Z desperacji uczyniono kanon narodowej polityki. Jej elementami są terror i zdrada.

Oczywiście, w takiej atmosferze desperackiej, na takiej ideologji gwałtu, fałszu i zdradzieckiej napastliwości nie hartują się dusze wielkie, silne, dzielne, szlachetne, rycerskie, a tylko podstępne, zdradzieckie i w ostatecznej swej treści tchórzliwe, a często nikczemne.

Owszem, desperaci mogą nieraz zadziwić zuchwalstwem i cynizmem, krwiożerczością i dziką zaciekłością, ale nie zdobędą niczyjego szacunku, uznania, ni zrozumienia. Z desperatami nie można ani walczyć, ani dyskutować. Można ich tylko ścigać i ośmieszać. Niema bowiem z nimi o co walczyć, niema o czem rozmawiać.

Program desperata jest: jak najwięcej zniszczyć, spalić, wyciąć, wymordować. Istny nihilizm. Jemu nie chodzi o pokonanie wroga, o przekonanie oponenta, lecz o pastwienie się nad przeciwnikiem, o plwanie nań i złorzeczenie. Desperat polityczny jest najbliższym krewnym duchowym nożowca, a cały jego arsenał środków sprowadza się do bomby i rewolweru, oraz pakuł podpalacza.

Każde zdrowo myślące społeczeństwo powinna wyrzucać desperatów poza swój nawias, gdyż nie przynoszą mu ani zaszczytu, ani korzyści. Bo przecież od noża zamachowca dłuższy jest bagnet żołnierza, a od jego bomby potężniejszy szrapnel. Na zamach jest represja, a od hasła „Bij i pal" donioślejsze jest hasło porozumienia. Rola desperata nietylko kończy się tam, gdzie się zaczyna rola policjanta, ale przedewszystkiem tam, gdzie zaczyna pracować trzeźwa, zrównoważona, przewidująca myśl polityczna.

Norma desperata „od zamachu do zamachu" nie jest normą społeczeństwa, które nie może istnieć na wulkanie, które musi rozporządzać pewnem minimum warunków stabilizujących, inaczej przestanie istnieć, rozpadnie się w anarchję. Pojęcie „permanentnej rewolucji" na oczach wszystkich zbankrutowało już w Rosji sowieckiej. I z b a n k r u t u j e w s z ę d z i e.

Desperat, „wieczny rewolucjonista", polityczny nożo-

wiec, to przedewszystkiem zazdrośnik, jak Kain — i leniwiec, jak Ezaw. Widzi on sukcesy brata swego i nie mogąc im sprostać swą ubogą, jałową myślą, postanawia zniszczyć tego, który jest odeń wyższy, bo szlachetniejszy. Chwyta więc za nóż, czai się jak zwierz i znienacka morduje.

I wtedy spada nań przekleństwo krwi, niewinnie przelanej.

Pod ciężarem tego przekleństwa, z tem piętnem Kaina idzie w życie, potykając się na każdym kroku o tragiczne skutki swej zbrodni. Krew przelana woła o pomstę i ten straszny, mrożący jej krzyk przytłacza mordercę, odbiera mu resztki rozumu.

Więc desperat następnie, jak Ezaw, odstępuje prawo decydowania o swym losie innemu, poddaje ucha obcej intrydze, szuka oparcia w jakiejś stolicy europejskiej, która buduje swe nadzieje polityczne na jego zbrodniczych instynktach i leniwym umyśle.

Grzech obezwładnia go całkowicie, czyni go nieprzytomnem narzędziem bylejakiej konjunktury, przemienia go w zwierzę, za judaszowe srebrniki podszczuwa co dnia do coraz to nowej zbrodni. Bo zbrodnia rodzi zbrodnię.

Jakiż jest koniec desperata, zamachowca, „wiecznego rewolucjonisty"?

Niesławny, haniebny, jak i jego życie. Gdzieś, o wczesnym świcie — stryczek lub salwa karabinowa. Często zostaje stracony i zmiażdżony przez pierwszy odruch samoobrony społecznej, tak, że nie można rozpoznać nawet jego szczątków. A imię jego? Desperat popełnia swe zbrodnie anonimowo. A jeśli jakimś przypadkiem ujawni się jego imię, to historja zapisuje je obok zdrajców i szaleńców, zapisuje je na marginesie pod wieńcem pogardy i politowania.

Desperat staje często na przełomie dwu epok, lecz niema w tem jego zasługi, jest ślepem i często niezdarnem na-

rzędziem ludzkiej niegodziwości, która się tak ustawicznie podkopuje pod fundamenty życia.

Ostatecznie w każdem społeczeństwie mogą się znaleźć desperaci, ale sprawdzianem zdrowia moralnego tego społeczeństwa jest stosunek do nich, jest wyraźna wola odgrodzenia się od nich.

Niestety, nie zawsze to obserwujemy w społeczeństwie ruskiem, „ukraińskiem". Zdarzyło się już parę razy, że niespodzianie w różnych jego kołach, które powinny świecić przykładem tężyzny moralnej i trzeźwości politycznej, odzywały się sympatje dla manifestacji desperatów.

Warszawski organ duchowieństwa „Przegląd Katolicki" umieścił bardzo zdecydowaną wzmiankę p. t. „Polityczny bandytyzm" (Nr. 29 z 22 lipca 30 r.), na co zareplikował również katolicki organ ukraiński „Beskyd", wyrażając niewczesne swe zdumienie, że takie twarde słowa znaleźć się mogły w katolickiem piśmie. Dla zrozumienia całej kwestji zapoznajmy się z głosem „Przeglądu Katolickiego".

„Szkoła terroru i zbrodni — czytamy tam - kwitnie w tej chwili w naszem państwie jedynie wśród Ukraińców. Przeciwko niej musi się też zwrócić sprawiedliwość karząca z nieubłaganą surowością. To, co się mówiło o wypalaniu gorącem żelazem wrzodu bandytyzmu politycznego, powinno być konsekwentnie wypełnione. Nie chodzi tu bynajmniej o jakieś barbarzyńskie oko za oko. Chodzi o czysto pedagogiczny zabieg. Rozwydrzone zwierzę ludzkie można poskromić przedewszystkiem batem. Brak bata poczytuje ono za słabość. A ponieważ takie zwierzę jest przy całem swem okrucieństwie tchórzliwe, niema więc innego nań sposobu, jak zastraszenie. Że tak jest niestety, wymowny tego dowód złożyli właśnie Ukraińcy za kordonem sowieckim, na t. zw. Wielkiej Ukrainie. Tam, pod bolszewickim terrorem, poprostu stchórzyli, nie śmią nawet pisnąć, czy kiwnąć palcem w bucie, raz po raz natomiast ten lub ów działacz

ukraiński popełnia samobójstwo. Tak postępuje tchórzliwe zwierzę.

„Przysłowie wschodnie powiada: nie możesz kąsać ręki, która cię bije, to ją całuj. Zda się, że przysłowie to ma rację. Głaskaliśmy Ukraińców, za to gryźli nas w rękę, jednocześnie liżąc obcasy moskiewskich siepaczy. Zdaje się, że trzeba będzie zastosować perswazję Boćkowskiego, oczywiście według wszelkich zasad sztuki, a wtedy okaże się, że przysłowia sprawdzają się. Przykra to rzecz mówić takie rzeczy, ale też mamy nadzieję, że to wszystko, co w społeczeństwie ukraińskiem jest rzetelnie kulturalne, w duchu zachodnio-europejskim, zrozumie nasze stanowisko i dopomoże do zlikwidowania groźnego bestjalizmu we własnem społeczeństwie, tem groźniejszego, że jednocześnie tchórzliwego i drapieżnego. Bo czyż nie jest tego dowodem cała serja zamachów podstępnych, „z za węgła“, z reguły skierowanych przeciw najlepiej dla Ukraińców usposobionym, jak Hołówko. Wszystkie te zamachy charakteryzuje wyjątkowa nikczemność, znamię tchórza, bojącego się odpowiedzialności, pozbawionego godności ludzkiej. Naród bez poczucia godności nie dorósł jeszcze do roli dziejowej“.

Jak widzimy z tej krótkiej wzmianki, jej celem było poprzez surową i ostrą analizę ujawnić całe podłoże psychiczne tego zjawiska buntu i desperacji, jakie trawi rusko-„ukraińskie“ społeczeństwo. Oczywiście nie są miłe rzeczy, które wypowiada się w tej wzmiance, ale uczciwy i jasny jest jej zamiar, wysnute w niej hasło: relegowania poza ramy zdrowo myślącego społeczeństwa ukraińskiego elementów, które naruszają harmonję jego życia kulturalnego, sprzeciwiają się jego celom ogólnym i przeznaczeniom historycznym. Opanowanie bestji w jednostce, czy w społeczeństwie, toć przecież najważniejszy kanon moralnej dyscypliny chrześcijańskiej. Było rzeczą naturalną, że podkreślił go właśnie organ katolicki. Jakież tedy zdumienie budzić musi atak innego organu katolickiego, organu tym razem „ukraiń-

skiego", który wydziwić się nie może tezie swego komparsa polskiego. Jakżeż to jest? Czyż twarde i bardzo wymagające zasady katolickiej moralności o tyle tylko znajdują uznanie w społeczeństwie ukraińskiem, o ile mogą być narzędziem politycznej akcji przeciw komuś? Z taką dwoistością moralną społeczeństwo ruskie nie dokona niezbędnego uzdrowienia in capite et in membris.

Taki głos jest dalszem kontynuowaniem procesu „staczania — jak to podkreślił dr. Bobrzyński — ogólnej mentalności ruskiej na poziom Siczy, wojującej dorywczo, anarchicznie z całym światem. Bezmyślne niszczenie cudzego mienia stało się u Rusina, pod wpływem ideologji ukrainizmu, synonimem walki narodowej. Mordowanie i torturowanie ludzi o wyższej kulturze stało się dla niego symbolem szerzenia ruskiej kultury. Bo przecież po siczownikach także nic innego nigdy nie pozostawało, oprócz zgliszcz i popiołów'.

Oczywiście zdarzyć się może wszędzie, że na chwilę wezmą górę krańcowo desperackie nastroje i tendencje; i my pamiętamy moment, streszczony w tej najsmutniejszej pieśni:

> Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej,
> Do Ciebie, Panie, płynie ten głos,
> Skarga to straszna, jęk to ostatni...

Ale rzeczywiście w naszych ustach była to skarga, nigdy zaś program realizacji aspiracji politycznych, ich fundowania na pożarach i krwi...

W dymie pożarów i kurzu krwi rodzi się tylko klęska, przedewszystkiem moralna. Na całą duszę roztacza się stygmat grzechu, znamię potępienia, poczucie skażenia duchowego, które nie pozwala spojrzeć nikomu, ani niczemu uczciwie i prosto w oczy. Rodzi się jakaś diabolica perseveratio, złośliwy, infernalny iście upór trwania w złem, zakamieniałość i zapamiętałość. Stąd nieufność do całego świata, podejrzewanie go o najgorsze zamary...

A tymczasem zło tkwi w samym człowieku. Rozeznanie tej prawdy stanowi punkt zwrotny w zwichniętej egzystencji narodu, taksamo, jak jednostki. Nastawia człowieka, czy społeczeństwo całe, na realny tor, po którym dojdzie do pozytywnych rozwiązań swych bolączek.

Nie pozostaje więc społeczeństwu ruskiemu nic innego, jak porzucić bezpłodną negację i krwawe metody buntu i zagłębić się w treść własnej duszy i własnych dziejów, wykryć zdecydowaną, męską wolą zatrute jej źródła. Ongiś, w wieku XIV, za czasów królowej Jadwigi, starosta Detko powiadał, że to z poduszczenia szatańskiego zepsuły się dobre, przyjazne stosunki między Polską i Rusią. Wiadomem jest dokładnie, gdzie dziś ten djabeł podszczuwacz rezyduje. W wiedeńskiej kamerze i berlińskim amcie. Trzeba go tam wytropić, przetrzebić, a potem odżegnać się od niego na zawsze. Muszą się znaleźć w społeczeństwie ruskiem czynniki, jednostki, czy grupy, które podejmą się niewdzięcznej, ale koniecznej roli zdemaskowania i zdezawuowania niebezpiecznych nastawień i tendencji historyczno-politycznych w społeczeństwie swojem. Ich zadaniem będzie podjęcie analogicznej roli, jaką w społeczeństwie, karmiącem się desperackiemi nastrojami „Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej" odegrała krakowska szkoła historyczna. Nauczyła nas ona trzeźwego oceniania rzeczywistości dziejowej, zdecydownego, bezkompromisowego doszukiwania się prawdy historycznej, choćby najmniej miłej, ale prawdy, opartej na faktach, na trzeźwej ocenie sił psychicznych społeczeństwa i warunków jego egzystencji, a dalej, w najwyższej instancji, na gruntowaniu wszelkiej polityki na podstawach etycznych.

Zdrowa część społeczeństwa ruskiego musi zacząć pozytywnie, pragmatycznie myśleć, trzeźwo oceniać wszystkie wady psychiki narodowej, niedociągnięcia kultury, niedorozwój polityczny i na tej podstawie konstruować plan

i program akcji politycznej, obliczonej na dłuższą metę, nie od jednego podpalenia czy zamachu, do drugiego, ale akcji, znaczącej się żmudną pracą pogłębiania wartości duchowych, kulturalnych i społecznych.

Musi ta część społeczeństwa wziąć zdecydowany rozbrat ze wszystkimi elementami desperackimi, wywrotowymi, ze wszystkimi niespokojnymi duchami, żyjącymi obcą, złośliwą inspiracją i obcym, judaszowym żołdem.

Musi przeciwstawić się zbrodni, jako narzędziu politycznego działania. Wzywają ją do tego jej duchowi duszpasterze, jak stanisławowski Biskup Grzegorz Chomyszyn i Metropolita lwowski, Andrzej Szeptycki.

Nie od dziś dają się słyszeć przestrogi i napomnienia z ich strony; zwłaszcza w płomiennych słowach i głębokich refleksjach przemawia Biskup Chomyszyn, który znów na łamach „Nowej Zorji“ ogłosił odezwę do duchowieństwa. Podkreśla on niebezpieczeństwo planowej walki z Kościołem, jaką wśród ludu ruskiego inicjują i prowadzą różne świeckie, ruskie instytucje, jak czytelnie Proświty, Narodnie Domy, Kooperatywy i t. p.

Wieje z nich duch jaskrawego szowinizmu i ultranacjonalistycznego eksterminacjonizmu. Opanowali te instytucje skrajni demagodzy, którzy wiodą społeczeństwo ruskie na skraj przepaści, odrywają je od Boga i pozytywnej społecznej pracy.

Miejmy nadzieję, że przeciw ich destrukcyjnej, kreciej i drapieżnej robocie powstanie w społeczeństwie ruskiem zdrowy duch i że w ten sposób zostanie starty stygmat grzechu, który ciąży fatalnie nad całą ruską rzeczywistością w chwili obecnej.

Józef St. Czarnecki.

WARSZAWA — BUDAPESZT.

Premjerzy polski i węgierski wymienili między sobą zwyczajowe, oficjalne toasty w czasie obiadu przy okazji niedawnej wizyty premjera Gömbösa w Warszawie. Ale w tych przemówieniach było coś więcej powiedziane, niż w innych podobnych przemówieniach oficjalnych. Premjer Kozłowski wypowiedział bowiem, między innemi, następujące słowa:

„Położenie geograficzne Węgier i Polski sprawia, że są one bezpośrednio zainteresowane w międzynarodowych rozwiązaniach, zmierzających do podniesienia stanu gospodarczego w tej części Europy. Wszelkie próby rozwiązania tych problemów, któreby nieuwzględniały faktu wzajemnej zależności gospodarczej państw, położonych w tej części europejskiego kontynentu, pozostaną bezskuteczne i będą zgóry skazane na niepowodzenie".

A premjer Gömbös odpowiedział na to:

„Wasza Ekscelencja zechciał wspomnieć w swojem przemówieniu o węzłach tradycyjnej przyjaźni, łączącej w przeszłości oba nasze narody, które w swej tysiącletniej historji nie miały nigdy rozbieżnych interesów i nie były nigdy przeciwnikami. W istocie bowiem gorąca miłość ojczyzny, pragnienie niepodległości i wolności, jak również wysokie pojęcie honoru narodowego i głębokie przekonanie o wyższości idei nad materją wyróżniały zawsze Polaków i Węgrów. Co więcej, interesy gospodarcze i polityczne Węgier zbiegały się zawsze w sposób jak najbardziej pomyślny z interesami Polski i ta wspólność interesów stwo-

rzyła od początku życia politycznego obu naszych narodów solidną i trwałą podstawę ich przyjaźni".

Oba te ustępy, sięgające wgłąb polsko-węgierskich stosunków, precyzują jasno i wystarczająco to, co nas łączy z narodem i państwem węgierskiem pod względem moralnym i materjalnym. Istotnie — wzajemna racja stanu obu narodów nie potrzebuje dalszych argumentów, nie stanowi żadnego „problemu do dyskusji", ale leży przed nimi jasno wytyczona.

Z żadnem innem państwem na świecie nie łączy nas tak jasny stosunek, taka wspólnota pojęć i uczuć ideowych i tak prosty, oczywisty interes polityczny!

Ale okres wizyty premjera Węgier w Warszawie nie skończył się samem skonstatowaniem tej polsko-węgierskiej rzeczywistości. Równocześnie bowiem została podpisana konwencja o współpracy intelektualnej, zmierzającej przedewszystkiem do rozwoju wzajemnych studjów historycznych, a nadto powołano w obu krajach do życia komitety studjów, mających na celu wzmożenie wzajemnej wymiany towarowej. Uczyniono więc konkretne kroki w kierunku moralno-politycznym i materjalnym — i to nie w doraźnej, krótkoterminowej formie dyplomatycznych traktatów z klauzulami wypowiedzenia, ale w postaci daleko głębszej: gruntownego przygotowania naukowych i praktycznych podstaw dla s t a ł e j współpracy obu państw.

Podnieść należy w tem wszystkiem dwa zwłaszcza momenty, podkreślone w przemówieniach premjerów Kozłowskiego i Gömbösa. Najpierw, padło tu na arenie oficjalnej po raz pierwszy wyrażenie: „w tej części europejskiego kontynentu". Powtóre zaś podniesiono tę najgłębszą wspólnotę, stwarzającą tyle analogji i sympatji między narodem polskim a węgierskim, mianowicie wybitną w pojęciach ich obu „wyższość idei nad materją".

Zanalizujmy obie te kwestje kapitalne.

O jaką część Europy tu chodzi? Nie mamy oczywiście

prawa interpretować kategorycznie pojęcia, które p. premjer Kozłowski chciał zawrzeć w tem wyrażeniu. Wydaje nam się jednak rzeczą jasną, że nie mógł mieć na myśli ani centralnej Europy germańskiej, ani wschodnich, zrusyfikowanych obszarów, ani świata skandynawskiego, ani południowych krajów śródziemnomorskich, ale chyba tylko to, co właśnie między tymi wszystkimi obszarami leży, a co my w tem piśmie nazwaliśmy już od trzech lat środkowo-wschodnią Europą. Jest to owych dziewięć państw w trójkącie między Bałtykiem, Adrjatykiem a Morzem Czarnem, które wszystkie — mimo dzielących ich narazie wielu głębokich różnic — uważamy za predestynowane położeniem, losem i głębszym interesem do stopniowego skonsolidowania się w silny blok polityczny, militarny, gospodarczy, a w naturalnej konsekwencji także i kulturalny. Powtarzamy raz jeszcze listę tych państw, zaczynając od północy: Estonja, Łotwa, Litwa, Polska, Czechosłowacja, Rumunja, Węgry, Jugosławja i Bułgarja.

Paradoks — powie powierzchowny polityk, żyjący chwilą bieżącą. Ale na rozumnej, przewidującej, celowej realizacji takich pozornych paradoksów na dłuższą metę opiera się prawdziwie wielka polityka i kształtowanie się losów państw. Efemeryczne, zbyt logiczne i zbyt uchwytne aktualja są zwykle bez większego znaczenia.

A w tym kompleksie państw „tej części kontynentu Europy“ istnieją dwa bieguny, jak gdyby dwa zgodne oparcia i łożyska dla osi koła wypadków: Warszawa i Budapeszt. Oba te bieguny predestynowane są szczególnie do pełnienia zgodnej, równoległej roli właśnie dlatego, że wszystko je łączy — historja, ideowa rycerskość (w stopniu niespotykanym gdzieindziej na świecie), analogiczne położenie geograficzne, wreszcie identyczność interesów politycznych i gospodarczych — a chyba nic nie dzieli.

Otóż, jeżeli wspomniany blok, obejmujący państwa „tej części kontynentu Europy“, ma dochodzić do skutku, to

niezbędną jest rzeczą, aby oba jego bieguny, oba centra krystalizacji — Warszawa i Budapeszt — uświadomiły sobie dokładnie swą rolę i ruszyły naprzód z bardzo dobrze przemyślaną, celową, nieugiętą konjunkturami akcją, nie zrażając się niczem, nie dając wytrącić się z tej linji kapryśnej polityce wielkich mocarstw i stwarzając przez to wszystko silną kość pacierzową dla przyszłego bloku.

W ten sposób, z biegiem czasu i owe pozostałe siedem państw „tej części kontynentu Europy“, obiwszy sobie boki o różne inne, daleko na wschód lub zachód sięgające, zbyt skomplikowane a niefortunne koncepcje, zacznie kolejno grawitować w kierunku owego słupa, zaopatrzonego z jednej strony napisem Polska, z drugiej Węgry. Rzuca się i intryguje po całej Europie polityka czeska, w tej chwili wrogo przeciw Polsce i Węgrom nastawiona. Zdaje jej się, że w tem nastawieniu leży racja bytu Czech. Kapitalna omyłka — ale niech nas to z równowagi i obranej linji nie wytrąca! Te Czechy muszą prędzej czy później pogodzić się z nami i Węgrami, muszą zrobić ustępstwa sprawiedliwe i przyłączyć się do bloku, bo n a d e j d z i e m o m e n t, w k t ó r y m n i e b ę d ą m i a ł y i n n e g o w y b o r u. Podobnie postąpić będzie musiała wroga nam dzisiaj Litwa. Rozluźnić się musi zarówno Porozumienie bałtyckie, jak i Mała Ententa na rzecz bloku. Leży to na linji najżywotniejszej racji stanu wszystkich tych państw, wchodzących w skład obu chwilowych koncernów. Jest to na przyszłość kategorycznym dla nich imperatywem egzystencji.

Spokojnie więc patrzymy w przyszłość, pewni swego programu, który wymienionym dziewięciu państwom prosty — choć może nie wszędzie jeszcze świadomy — realizm polityczny dyktuje. Czują to już dobrze różne postronne mocarstwa i w tem poczuciu usiłują rozerwać kiełkującą już gdzieniegdzie świadomość konieczności bloku środkowo-wschodniej Europy. Starają się unicestwić go w zaląż-

ku wszelkimi sposobami, obietnicą, groźbą, intrygą i coraz to nowszemi koncepcjami „naddunajskiemi“. Dotąd Francja uważała te kraje za swoje kolonje, teraz usiłują wydrzeć jej ten „mandat“ Włochy, poczęści Niemcy, a z boku czai się zaambarasowana chwilowo swym wschodnim problemem Rosja, aby wystąpić z „protektoratem“ Środkowo-wschodniej Europy wobec Niemiec i Francji na terenie choćby Ligi Narodów.

Subtelna gra, na przyszłość niezmiernie dla wspomnianych dziewięciu państw niebezpieczna, bo dla nich na nic koncepcje naddunajskie, ani wątłe partykularyzmy nadbałtyckie, ani sztuczny status quo Małej Ententy, ani złudne rozgrywki francusko-włoskie na terenie Jugosławji i Bułgarji, ani wreszcie beznadziejne wysiłki konsolidacji bałkańskiej — ale jedynie tylko silny, zwarty blok w granicach, propagowanych przez nas od trzech lat niewzruszenie na łamach tego pisma i gdzie tylko sięgają dotąd możliwości naszego oddziaływania.

A więc — caeterum censemus, że blok dziewięciu państw środkowo-wschodniej Europy powstać powinien i musi, a w pierwszym rzędzie jego kość pacierzowa, umocniona silnie między Warszawą a Budapesztem. Trzeba to jasno wypowiedzieć i nie wstydzić się tego, Niech ci wszyscy, którym Polska lub Węgry, a zwłaszcza idea sojuszu polsko-węgierskiego jest solą w oku, dowiedzą się dokładnie, że Polska i Węgry chcą jasną i prostą politykę prowadzić! Jest to pierwszym warunkiem uzdrowienia stosunków w tej części kontynentu Europy. Wszak świat cały, a w pierwszym rzędzie Europa, choruje właśnie na niejasność i nieszczerość wzajemnych stosunków dyplomatycznych i gospodarczych.

Doświadczenie uczy nas, że — ogółem biorąc — dyplomaci różnych państw, a za nimi także czuła na każde drgnienie ich powiek prasa, zbyt skomplikowaną prowadzą zwykle grę, tak skomplikowaną, że aż nieraz wprost szko-

dliwą dla istotnej racji stanu krajów i narodów, które reprezentują. Nigdy przed wojną ta polityka międzynarodowa nie była tak zawiłą, tak zagmatwaną, jak obecnie — w epoce niby jawności polityki dyplomatycznej, która to jawność była hałaśliwie głoszona w okresie traktatu wersalskiego, jako jedna z głównych podstaw demokratyzacyjnego odrodzenia i uszczęśliwienia powojennej ludzkości. Przed wojną bowiem zdarzało się wprawdzie, że mężowie stanu i dyplomaci siadali niekiedy na dwóch stołkach, ale chyba nigdy na dziesięciu, jak się to obecnie dzieje. Działają tu zarówno różnorodne przewidywania, asekuracje i reasekuracje, kombinacje i spekulacje, które wszystkie razem wytwarzają w umysłach polityków niebezpieczne dla ich krajów i dla nich samych „hamulce psychiczne". W rezultacie niejedno z takich państw, zbyt sprytne i dowcipne, zbyt wiele strzał przykładające do jednej cięciwy, schodzi na manowce, gubi po drodze swą głęboką rację stanu i osiada na piasku, albo — co jeszcze gorzej — na genewskiej gadaninie.

Węgrzy przechodzili pod tym względem także różne fazy przewidywań i kombinacji. Widzieliśmy ich częściowe tendencje proniemieckie, potem włoskie. Aż wreszcie ostatnio zdecydowali się nawiązać bliższy kontakt z Warszawą. I dobrze zrobili.

Prawdziwie bowiem użyteczny sojusz można zrobić tylko z sąsiadem, który:

1) nie ma żadnych sprzecznych interesów,
2) grozi mu równe i wspólne niebezpieczeństwo,
3) posiada zbliżone cechy charakteru.

Wszystkie te trzy warunki odnoszą się wspólnie do Polski i Węgier, z dodatkiem jeszcze wielu analogji historycznych, a zwłaszcza rozbiorów, dokonywanych kolejno na Polsce i Węgrach przez zachłanną, a wielce bezkrytyczną Europę. Stąd też Polska i Węgry są wprost predestynowanymi dla siebie sojusznikami, przyczem i to jeszcze ułatwia im niezmiernie wzajemną sytuację, że posiadały —

i w pojęciach swych nadal posiadają — idealną wprost granicę karpacką, nigdy wzajemnie nie kontestowaną. Żadnemu Polakowi nie przyszło i nie przyszłoby nigdy na myśl przekraczać grzbietu Karpat z bagnetem w ręku w celu zdobywania Węgier i podobnie każdy Węgier śmiałby się, gdyby mu ktoś podsuwał podobną intencję względem Polski. Jakoś tak się urobiło w ciągu wieków, że polsko-węgierska granica karpacka utrwaliła się w umysłach obu narodów jako „żelazna granica“, jakiej drugiej nie masz pono na świecie. Bo wszędzie, chyba bez wyjątku, sąsiedzi są sobie wrodzy, a przynajmniej wzajemnie nieufni, właśnie przedewszystkiem z powodu wspólnych granic. Jedynie polsko-węgierska granica (za wyjątkiem drobiazgowego, turystycznego sporu o Morskie Oko) nie ulegała nigdy wątpliwości, mimo nawet dobrowolnych, umownych zmian władania nad Spiszem.

Wszystko więc — historja, geografja, mentalność, interes polityczny i gospodarczy, niezliczone dowody sympatji, poważna troska o przyszłość — winno popychać Polaków i Węgrów nawzajem sobie w ramiona. Wszak od Niemców niczego Węgrzy nie mogą się na serjo spodziewać. Niemcy myślą tylko o sobie i muszą myśleć tylko o sobie, a plany mają daleko bliższe, daleko dla nich żywotniejsze i realniejsze, niż sojusze z Węgrami. Niemcy mogliby w danym razie wygrywać Węgrów egoistycznie dla swych celów i niebezpiecznie nimi intrygować. Co zaś do Włochów, to ich interes stworzenia sobie z Adrjatyku mare nostrum leży w niedopuszczeniu Węgier do morza, do wygrywania ich — jak i Bułgarji — przeciw francuskiej polityce jugosłowiańskiej, a w dalszej przyszłości może także do moralnej choćby tylko rekonstrukcji rzymskiego imperjum, z rzymskiemi placówkami politycznemi w Windobonie i Budzie, o czem — niezbyt nawet dyskretnie — marzy Mussolini.

Czy w tem leży żywotny interes i racja stanu dzisiejszych „Węgier w podziałach“? Chyba nie...

Leży natomiast bezsprzecznie w najściślejszym sojuszu z Polską. A jeżeli któremu z Węgrów przychodzi na myśl, że Polska narazie jeszcze jest niedostatecznie potężnem mocarstwem, aby się o nią móc oprzeć całkowicie, to nie powinien zapominać, że Węgry nie są przecież niczem, ale że skojarzone z Polską, tworzyć z nią będą tem większą potęgę. Wszak przewyższą razem ludność Francji, a bitni są dostatecznie!

Jest tylko jeden ważny szkopuł dzisiaj między obu krajami: że nie sąsiadują bezpośrednio ze sobą. To istotnie utrudnia stosunki. Trzeba przebyć kilka granic między Warszawą a Budapesztem. A tej przeszkody pilnuje skwapliwie wspólny, chytry nieprzyjaciel, trzymając temsamem w ręku klucz stosunków polsko-węgierskich.

Ten klucz trzeba mu z rąk odebrać i w tem leży najbliższy, najrealniejszy i najistotniejszy cel wspólnej polityki polsko-węgierskiej. To ważniejsze, zwłaszcza dla Węgier, niż wszystko inne. Ruś Zakarpacka, jako klin, wbity między Polskę a Węgry i jako niebezpieczny dla Europy pomost między wschodnio-słowiańskim światem, a czeską, panslawistyczną, czy neoslawistyczną koncepcją, musi zniknąć. Tego wymaga najżywotniejszy interes polskiej i węgierskiej racji stanu i ważny problem odbałkanizowania środkowo-wschodniej Europy. Jest to zarzewie wojen, daleko groźniejsze od wszelkich korytarzy pomorskich i Anschlussów austrjacko-niemieckich. Lew czeski, wyobrażony na herbie, zbyt dużo połknął w pierwszej chwili ogólnej anarchji powojennej, niż może strawić. Sama geograficzna konfiguracja dzisiejszego państwa czechosłowackiego zbyt jest absurdalna, aby mogła się na dłuższą metę utrzymać. A to, jak wiadomo z historji, nie jest rzeczą obojętną dla losów żadnego państwa i żadna sztuka dyplomatyczna à la longue tej trudności nie przezwycięży. Europa — jeżeli naprawdę pragnie normalizacji stosunków, winna więc ten niebezpieczny absurd Rusi Zakarpackiej na rzecz Węgier na-

prawić. I Czesi także — jeżeli umieją nieco w dal patrzeć i jeżeli są w stanie myśleć na serjo o swem państwie. Bo chwilowe zagarnięcie sprytem lub przemocą różnych obcych obszarów nie jest już dzisiaj myśleniem na serjo o ojczyźnie. Doświadczenie nas uczy znowu, jak niebezpieczną rolę odgrywają z reguły sporne obszary!

Ale ten chwilowy — miejmy nadzieję — szkopuł materjalny nie powinien przeszkadzać szybkiej realizacji polsko-węgierskiego przymierza. Przeciwnie, zdaniem naszem winien tylko przyśpieszyć tę realizację. A gdy ona dojdzie do skutku i gdy zharmonizuje się puls Budapesztu i Warszawy, mimo wszelkich intryg postronnych — blok państw środkowo-wschodniej Europy zacznie się siłą rzeczy, mimowoli, dokoła tej osi krystalizować. Leży to w logice ich geograficznego i politycznego położenia. A wówczas i różne kwestje sporne, zwłaszcza dotyczące spraw irrydenty, istniejącej wzajemnie w państwach, sąsiadujących ze sobą, zaczną się załatwiać na drodze przyjacielskiego, objektywnego porozumiewania. Bo tu znowu doświadczenie uczy, jak niebezpieczną rzeczą jest dla każdego państwa mieć u siebie irrydentę, a więc obywateli, spoglądających z zazdrością i tęsknotą na wolne własne państwo sąsiednie. Taki nabytek nie wzmacnia oczywiście nigdy siły danego kraju ani w czasie pokoju, ani wojny. Daje conajwięcej tylko złudną satysfakcję władcom danego kraju, że nad większym obszarem panują. Złudną, bo trwałe władztwo nie może być tylko władztwem miecza. Jakżeż łatwo miecz ten przy pierwszej okazji może się wyszczerbić lub zgoła pokruszyć!

O tem winni pamiętać ci wszyscy, którzy zbyt sztucznie, zbyt zachłannie państwa swe konstruują. Najmniejsze pośliźgnięcie się, a taki sztuczny twór państwowy traci więcej, niż poprzednio zyskał. Rozpadanie się różnych państw wielonarodowościowych pod wpływem ciosów wojen zewnętrznych jest najlepszym tego dowodem.

Z drugiej strony narody małe lub historycznie niedo-

statecznie uwypuklone — t. j. nie mogące wykazać się odpowiednią zdolnością, czy możnością państwowo-twórczą— nie powinny nazbyt dążyć do całkowitego zrywania wspólnoty państwowej, w której trwały i rozwijały się od wieków z innymi narodami. Integralna bowiem realizacja dążeń separatystycznych takich małych lub słabych narodów nie wyszłaby im z pewnością na dobre, stworzyłaby dokoła nich wrogów, a przedewszystkiem zbałkanizowałaby kontynent Europy aż do absurdu. Odstraszająco winien tu oddziaływać choćby przykład dawnej Rzeszy niemieckiej, wprawdzie jednonarodowej i jednojęzycznej, ale śmiesznie i niebezpiecznie dla niej rozdrobnionej na dziesiątki, a bodaj nawet na setki „suwerennych“, nieraz lilipucich państewek. Odrębność językowa, a nawet odrębność narodowego poczucia nie są same przez się jeszcze dostateczną podstawą do tworzenia absolutnie niezależnego państwa i do zapewnienia jego obywatelom tych wszystkich korzyści, jakich od organizacji państwowej mają prawo spodziewać się i wymagać. Kontynent Europy, gdyby chciano zrealizować na nim wszystkie aspiracje niepodległościowe, zamieniłby się bez żadnej wątpliwości na szkodliwy kalejdoskop drobnopaństwowy, ustawicznie krwią ociekający, a kultura cofałaby się, zamiast iść naprzód.

Dlatego, zwłaszcza w dzisiejszych warunkach, gdzie realizacja różnych doniosłych celów państwowych, kulturalnych i gospodarczych wielkich nieraz środków i sił wymaga, konsolidacja mniejszych narodów w większe, wspólne twory państwowe leży w porządku rzeczy i dyktowana jest głębszą racją stanu tychże narodów i całej Europy — oczywiście z warunkiem sprawiedliwego dla wszystkich obywateli ustroju takich państw wielonarodowościowych. Polska pierwsza może bez obawy wysunąć tę zasadę, gdyż od niepamiętnych czasów była zawsze państwem wielonarodowościowem i na tem również opierała w znacznym stopniu swą potęgę.

Europa środkowo-wschodnia, o którą nam tu najbardziej chodzi, zewsząd zagrożona i służąca za piłkę intrygom wielkich mocarstw, znajduje się obecnie w stanie niebezpiecznego dla niej fermentu właśnie wskutek zbytniego państwowego rozdrobnienia i śmiesznych, bezkrytycznych aspiracji separatystycznych licznych narodowości, zamieszkujących różne, już i tak gdzieniegdzie zbyt rozdrobnione twory państwowe w jej obrębie. Przez stworzenie bloku, różnemi konwencjami dostatecznie silnie spojonego, tarcia te i fermenty niewątpliwie znacznie się załagodzą, pomijając już wszelkie inne korzyści — polityczne i gospodarcze — jakie kontrahenci bloku będą mogli z tej wspólnoty osiągnąć. A w tym kompleksie przypada Polsce i Węgrom, jako państwom, centralnie położonym, pierwszorzędna rola konsolidująca. Nie znaczy to oczywiście, żeby oba te kraje miały dążyć do hegemonji nad innymi, przeciwnie, równość kontrahentów winna być zasadą, ale chcemy tylko podnieść, że inicjatywa konsolidacyjna krajów, centralnie położonych, może być z natury rzeczy silniejszą i skuteczniejszą od inicjatywy jakiegoś państwa, położonego na rubieżach projektowanego bloku.

Nie ulega też dla nas — społeczeństwa polskiego—żadnej wątpliwości, że wielka, rażąca niesprawiedliwość, Węgrom przez bezkrytycznych demokratów zachodu wyrządzona, musi być w jakiś sposób naprawiona. Nie jest dobrze dla państw ościennych, nowopowstałych lub nowo powiększonych, że na ich kresach, przyległych do dzisiejszego państwa węgierskiego, mieszka conajmniej trzy miljony Węgrów, gwałtem i przemocą oderwanych od ojczyzny. Pozwalamy sobie stanowczo przewidywać nietrwałość tak niesprawiedliwego stanu rzeczy i ostrzec, że z niego nic dobrego w przyszłości dla tych zaborczych państw nie wyniknie. Węgier dzisiejszy zbyt wysoko stoi kulturalnie i pod względem swego narodowego uświadomienia, aby dał się komukolwiek zaasymilować i to tem bardziej, że stanowi

nietylko wybitnie odrębny naród o wielkiej przeszłości historycznej, ale wprost odrębną rasę. Dlatego aż tak daleko idący podział Węgier, jaki dokonano w Trianon, jest z politycznego punktu widzenia gorzej, niż niesprawiedliwością, bo — ciężkim błędem.

Najważniejszym szkopułem w realizacji bloku są niewątpliwie Czesi, ale Czesi pod obecnymi ich rządami. Pozwalamy sobie tu również na stanowcze twierdzenie, że Czesi, mimo całego ich obecnego, wrogiego do Polski stanowiska, winni pierwsi ujawnić największe sympatje dla koncepcji bloku i to we własnym, dobrze zrozumianym interesie. Bo kto, jak kto, ale przedewszystkiem tych sześć czy siedem miljonów Czechów, otoczonych we własnem państwie przemożną ilością mniejszości narodowych, a nazewnątrz Niemcami i Węgrami, powinno z natury rzeczy grawitować przedewszystkiem do Polski.

Powinno i — będzie! Ale będzie dopiero wówczas, gdy obali swe dotychczasowe masońskie rządy, które pozorną tylko siedzibę mają w Pradze, a rzeczywistą gdzieś w Paryżu. Wskutek tego Czesi nie prowadzą dotąd swej własnej polityki, ale politykę francuskiego Wschodu, podobnie zresztą, chociaż w znacznie większym stopniu, jak to robiła słaba wewnętrznie Polska przed przełomem majowym, kiedy to każdy francuski komiwojażer uważany był u nas za finansowego i politycznego potentata, a każdy zwiedzający Polskę bankier nieomal za niekoronowanego króla.

Tak, nad Wełtawą musi wykształcić się i zapanować rdzennie czeska polityka, wyzwolona z więzów francuskiej masonerji, a nadto musi naiwna bezkrytyczność przeciętnego obywatela czeskiego wyzwolić się z niebezpiecznych mrzonek panslawistycznych wogóle, a moskalifilskich w szczególności. Wówczas odżyją lepsze tradycje polsko-czeskie i nasi pobratymcy inaczej zaczną mówić z nami na platformie własnej, rdzennej racji stanu. Narazie przemycają masoni czescy swą nieszczerą pobratymczość słowiań-

ską w Polsce tylko pod skrzydłami naszej narodowej demokracji, wciąż jeszcze bezkrytycznie czułej na „zew słowiańszczyzny“, idący z Moskwy przez Pragę i tam zaopatrywany stemplem żydów z paryskiego Wielkiego Wschodu ad usum tych naszych rodaków, którzy niczego nauczyć się nie chcą i nie mogą, zasłaniając sobie doktrynerstwem oczy przed niebezpieczną rzeczywistością.

I na tem miejscu z obowiązku patrjotycznego z całym naciskiem raz jeszcze powtarzamy — co wspominaliśmy już nieraz w tem piśmie — że nadawanie słowiaństwu jakiegokolwiek praktycznego, politycznego znaczenia, jest najoczywistszym i niebezpiecznym absurdem. Słowiaństwo—podobnie, jak germanizm lub latynizm — może mieć dzisiaj znaczenie tylko dla filologa lub archeologa, ostatecznie i dla historyka, jako pewien objekt badań, czysto naukowych, teoretycznych. Dla polityka istnieć nie powinno i nie może. Dla polityka i wogóle obywatela państwa, jako takiego, istnieją tylko inne państwa i narody, a nie jakieś abstrakcyjne, przedhistoryczne wspólnoty genezy szczepowej, które dzisiaj — jak to powszechnie jest widocznem — nietylko nie zbliżają do siebie państw i narodów, ale przeciwnie, stanowią z reguły jeden powód więcej do wzajemnych zachłanności zaborczych i krwawych wojen. Doświadczyliśmy tego chyba w dostatecznej mierze ze strony Moskala i Rusina, a obecnie i Czecha. Trzeba więc raz skończyć z tym absurdem słowianizmu, który żadnej praktycznej korzyści przynieść nam nie może — i nigdy nie przyniósł — a natomiast grozi nam zaćmieniem trzeźwego politycznego sądu i poważnem niebezpieczeństwem. Bo przecież wskutek rozdrobnienia zachodniej Słowiańszczyzny wszelkie tendencje słowianofilskie muszą wyjść w ostatecznym rezultacie na moskalofilstwo.

Pojęcie Słowiańszczyzny należy więc stanowczo tylko do gabinetów akademickich, a w polskiej polityce państwowej i naszem nastawieniu narodowem nie powinno odgry-

wać żadnej roli. Nie dajmy się wyzyskiwać dźwiękiem tego spryciarskiego wyrazu, a sprawą naszych sympatji i sojuszów winny kierować całkiem inne, daleko realniejsze kategorje myślenia i zasady.

Dla systematycznej realizacji s t a ł e g o polsko-węgierskiego zbliżenia na terenie ściśle prywatnym i na ogólnem tle naszej koncepcji Bloku dziewięciu państw środkowo-wschodniej Europy — powstała w łonie tworzącego się, jak wiadomo, z inicjatywy Koła Przyjaciół naszego wydawnictwa „Związku Polskiej Myśli Państwowej" specjalna sekcja węgierska, której ostatecznym celem organizacyjnym jest przeistoczenie się w celowo działający „Związek Przyjaciół Węgier". Sekcja ta pomyślana jest jako jednostronna, to znaczy bez udziału Węgrów, działająca wyłącznie na terenie Polski i urabiająca tu odpowiednią atmosferę głębszego zrozumienia dla równoległości — żeby nie rzec wprost: dla wspólnoty — polskiej i węgierskiej racji stanu w szeregu pierwszorzędnych spraw, najżywotniejszych dla obu narodów. Najważniejszym jej postulatem praktycznym jest wspólna granica polsko-węgierska na pewnej przestrzeni, a w tym celu reinkorporacja do Węgier t. zw. Rusi Zakarpackiej. Ale postulat ten wysuwamy tylko z prywatnej polskiej strony, jako postulat słuszności i naszego polskiego bezpieczeństwa. Nie wchodzimy w to, jak zechcą się Węgrzy do tego ustosunkować. To ich sprawa. Nie chcemy wytwarzać z naszej Sekcji węgierskiej jakiegoś wspólnego stowarzyszenia polsko-węgierskiego i to tem mniej, że takie stowarzyszenie — coprawda o charakterze nieco zbyt dla nas oficjalnym — już oddawna istnieje.

Ale miłoby nam było usłyszeć, że po węgierskiej stronie tworzy się równoległy do naszego „Związek Przyjaciół Polski", z którym moglibyśmy uzgadniać naszą akcję publi-

cystyczną i propagandową wogóle. Pewne prywatne, bardzo miłe i swobodne rozmowy, jakie odbyły się w październiku b. r. w Warszawie między przedstawicielami Koła Przyjaciół Naszej Przyszłości a pewnymi, bardzo poważnymi przedstawicielami społeczeństwa węgierskiego, wykazały możliwość powstania na Węgrzech takiego bratniego stowarzyszenia.

Jan Bobrzyński.

ŻYCIE POLITYCZNE SŁOWAKÓW.

I.

Słowacy przed wybuchem wojny światowej.

Wybuch wojny światowej w niczem nie zapowiadał, aby w ciężkich warunkach, w jakich znajdowali się Słowacy, miała nastąpić jakakolwiek zmiana na ich korzyść. Coprawda ideał niepodległości, ideał bytu narodowego swobodnego przewijał się niejednokrotnie w uczuciach uświadomionych narodowo Słowaków, wybuchał dość gorącą lawą w poezji Pawła Orszagha-Hviezdoslava (1849 — 1921), lecz ogół narodu niewiele wiedział o tych uczuciach, o tych nieokreślonych bliżej marzeniach do powrotu do państwa Pribiny.

Tymczasem nad całym narodem wisiała ciężka rzeczywistość, przytłaczał go wynaradawiający ucisk Madziarów, którzy wobec innych narodowości na Węgrzech stosowali takie same metody ucisku, jak Prusacy względem Polaków w zaborze niemieckim. Wiadomo, że monarchja austrjacko-węgierska dzieliła się właściwie na dwa państwa: jednem rządziła Austrja i to dość poczciwie, zwłaszcza kiedy w prowincjach od niej zależnych ujawniało się przywiązanie do cesarza, w drugiem wyłączną władzę mieli Madziarzy z własnym rządem i sejmem w Budapeszcie. Z pośród narodów, należących do korony węgierskiej, jedynie Chorwaci zachowali swoje swobody, mieli własne szkolnictwo i uniwersytet w Zagrzebiu, a to wszystko zapewne wynikało stąd, że Madziarzy, liczebnie mniejsi od podlegających im narodów, nie mogli ich odrazu zdławić wszystkich, pozostawili tedy Chorwatów na dal-

szy okres. Wojna światowa pokrzyżowała im te plany wynaradawiające.

Życie Słowaków pod rządami Madziarów przedstawiało się zgoła tragicznie. Ucisk zaczął się z końcem w. XVIII, kiedy na miejsce hungaryzmu, który dawał swobodę narodom niemadziarskim, pojawiła się zasada madziaryzmu, a razem z nią nastąpiło usunięcie z życia publicznego łaciny, na miejsce której wprowadzono język madziarski i to w tych wszystkich prowincjach, które należały do regnum Hungariae. Słowacy bronili się przeciw takiemu usiłowaniu dość energicznie do połowy XIX w., ale w latach późniejszych napór madziaryzacyjny staje się coraz gwałtowniejszy.

Są coprawda i w drugiej połowie XIX w. dążenia do utrwalenia narodowości słowackiej, co uwidoczniło się najsilniej w okresie przetwarzania się reakcyjnej Austrji w państwo konstytucyjne w t. zw. „Memorandum“, uchwalonem w Turcianskym sv. Martinie w r. 1861, lecz te usiłowania zostały niebawem całkowicie przygłuszone przez Madziarów.

Niezmiernie ciężkie czasy rozpoczęły się od r. 1875, kiedy to minister Koloman Tisza oświadczył oficjalnie, że niema narodu słowackiego. Hasło to, brzmiące po madziarsku: „Tót nemzet nem létezik“, stało się niebawem zasadą obowiązującą dla wszystkich urzędników, skoro bowiem minister nieomylnie tak ogłosił, to wolno w stosunku do Słowaków tak postępować, aby absolutnie nie szanować ich aspiracyj narodowych.

Oświadczenie Tiszy nie było frazesem bez znaczenia, lecz przeciwnie, miało znaleźć zastosowanie w praktyce. Nastąpiło zatem gwałtowne wynaradawianie Słowaków, a drogą do tego miały być urzędy, a przedewszystkiem szkoła. Od r. 1881 rozpoczyna się całkiem gwałtownie madziaryzowanie młodzieży, która musi się uczyć języka panującego, przyczem każdy odruch w kierunku zaznacza-

nia swej narodowości ze strony Słowaków jest poczytywany za wielkie przewinienie, pociągające za sobą wydalenie ze szkół. Aby zaś młodzież słowacka nie nabierała ducha rewolucyjnego, który określano nazwą panslawizmu, nie pozwalano jej odbywać studjów w obcych uniwersytetach.

Równocześnie z wynaradawianiem w szkole młodzieży słowackiej następuje od r. 1886 zacieranie charakteru słowiańskiego całej Słowacji. Tak tedy nagle odwieczne słowiańskie nazwy miejscowości, gór, rzek, ulegają przemianowaniu na madziarskie brzmienie, przyczem nazwy te istotny swój sens zatracają. Samo przez się oczywiste, że również nazwiska, a zwłaszcza imiona, muszą ulec przekształceniu, szczególnie w urzędach i wojsku.

Przeciwstawianie się takiemu systemowi jest poczytywane za zdradę stanu, to też wybitniejsi słowaccy działacze narodowi zapełniają bez przerwy więzienia w Wacowie i Segedynie, a taki stan rzeczy wynikał stąd, że Madziarzy wierzyli słowom Tiszy, iż państwo ma dość siły, aby zniszczyć wszelkie dążenia, zmierzające do zamanifestowania uczuć narodowych ze strony tych, którzy nie chcą się uważać za Madziarów. Jeszcze silniejszy ucisk ujawnił się od r. 1907, kiedy ministrem oświaty został hr. Albert Apponyi, szowinista tej miary, że trudno byłoby szukać takiego drugiego. Apponyi, mając przekonanie, że niema trudności w tem, aby jeden naród przetworzyć na drugi, ustalił, że w okresie czterdziestu lat, a więc do roku 1947, mają podlec madziaryzacji wszystkie narody, mieszkające na Węgrzech, a więc i Niemcy. Dla Słowaków mogło być pociechą to tylko, że nie do nich wyłącznie stosuje się prawo wynarodowienia, lecz ta pociecha nie zmieniała w niczem postaci rzeczy, ani nie wpływała w niczem na osłabienie dążenia Budapesztu w kierunku paraliżowania siły niemadziarskich narodów i absorbowania ich w swej narodowości. Samo przez się zrozumiałe, że Madziarzy nie posiadali dostatecznej ilości ludzi, aby obsadzić nimi w całem

swojem królestwie wszystkie posady, chwycili się przeto praktykowanego często sposobu, mianowicie kupowania ludzi za posady. Trzeba przyznać, że w tym względzie okazali się znakomitymi mistrzami; wystarczyło mianowicie złożyć deklarację, że się chce służyć państwu madziarskiemu, ściślej mówiąc Budapesztowi, wystarczyło zmienić nazwisko i przestać mówić w swym ojczystym języku, a już się miało drogę otwartą do karjery, która stawała się tem wyższą, im więcej dawano dowodów służbistości i ochoty uciskania własnych rodaków. Ludzi tego pokroju nazywano powszechnie madziaronami, a Madziarzy natomiast wszystkich słowackich patrjotów mianowali panslawami. Komu przydano taką nazwę, tego uważano za niebezpiecznego dla całości królestwa madziarskiego. Z tego staje się oczywiste, że na Słowacji był cały personel administracyjny nietylko madziarski, ale szowinistycznie madziarski, a więc pracujący w duchu przeciwsłowackim. Nie było w całej Słowacji ani jednego urzędnika, któryby się poważył deklarować jako Słowak, bo to groziło utratą posady, ba, nawet w szkole przyznanie się do słowackiej narodowości, jak to się zdarzało, pociągało za sobą wydalenie.

Wobec niedopuszczania Słowaków narodowo uświadomionych do urzędów, staje się samo przez się oczywiste, że mało było wśród nich ludzi, przygotowanych do służby państwowej, a inteligencję w przeważnym stopniu stanowili adwokaci, lekarze, inżynierowie i duchowni obu wyznań, t. j. katolickiego i ewangelickiego. Jednak i ci Słowacy musieli zachować względem państwa dużo lojalności, inaczej bowiem otwierały się przed nimi bramy więzienia, jak to było z pisarzem Svetozarem Hurbanem-Vajanskim, Józefem Skultétym, Milanem Ivanką, Ferdisem Jurigą, V. Srobarem i ks. Andrzejem Hlinką, który, pomimo prześladowania i więzienia w Segedinie, nie dał się złamać i wielu innymi. Wogóle zaś na dwa i pół miljona Słowaków obli-

czało się do tysiąca ludzi z wykształceniem wyższem, którzy żadnemi środkami nie dali się przeciągnąć na służbę u Madziarów.

O ile zaś ktoś szukał karjery naukowej, a nie chciał zrezygnować ze swej narodowości, musiał jej szukać poza granicami królestwa węgierskiego, przyczem miłego przyjęcia doznawali Słowacy w Pradze. Tam przecież był profesorem uniwersytetu prof. Jaroslav Vlcek, zasłużony jako pierwszy i wybitny historyk literatury słowackiej. Zdarzało się też, że i w innych krajach zdobywali sobie Słowacy wybitne stanowisko naukowe.

Z powyższego wynika, że uświadomienie w kierunku narodowym, jeżeli chodzi o ogół społeczeństwa, było dość słabe, co stoi w związku z układem społecznym w Słowacji. Albowiem przeważającą warstwę społeczną stanowi tam lud, a obok niego jest jeszcze drobna szlachta, która jest również schłopiała, uboga, bez znaczenia, bo materjalnie słaba. Mieli Słowacy sporo szlachty, lecz z biegiem XIX w. szlachta owa się zmadziaryzowała i dziś nie widzimy nawrotu do własnego narodu. Wobec takich warunków, trudno się było spodziewać, aby cały naród, całe społeczeństwo słowackie, uświadomiło sobie odrazu na początku wojny potrzebę przeciwstawienia się Madziarom, aby stworzyło jakąś wspólną platformę działania i poszło według jakiejś jednej myśli kierowniczej. Stało się nawet inaczej, mianowicie większość Słowaków okazała się elementem całkiem biernym, który pozwolił się łatwo przekonać co do prawdziwości tego, co stale głoszono w urzędach, szkołach, kościołach i w wojsku, że ojczyzna jest w niebezpieczeństwie, wobec czego należy poświęcić dla niej życie, jak również dla króla.

Jednak nie należy przypuszczać, że Słowacy byli masą narodowo całkiem nieuświadomioną, należy bowiem przypomnieć, że w r. 1848 i 49, w czasie rewolucji węgierskiej, wzniecili Słowacy pod wodzą Józefa Hurbana, Ludwi-

ka Stura i M. M. Hodzy powstanie przeciw Madziarom i że pamięć o tym zbrojnym, jakkolwiek dość słabym, czynie, pozostała i była jasną gwiazdą w dziejach odrodzenia politycznego Słowaków w w. XIX.

Jednakże z końcem XIX w. praca nad uświadomieniem szerokich mas ze względu na poważne utrudnienia nie mogła się należycie rozwinąć. Ludzie politycznego czynu nie uświadamiali sobie przytem należycie, u kogo szukać oparcia. Możnaby właściwie mówić o dwóch politycznych orjentacjach, a mianowicie najpierw o rusofilskiej, która miała zwolenników w starszej generacji, przyczem głównym jej przedstawicielem był Svetozar Hurban-Vajansky, który redagował „Narodnie Noviny". Zwolennicy tego kierunku politycznego spoglądali z podziwem i zachwytem na Rosję. Zachwyt ten wynikał stąd, że niektórzy politycy i uczeni rosyjscy wypowiadali się bardzo życzliwie o Słowakach i o ich położeniu, np. Gilferding, Łamanskij, Budiłowicz i inni. Dzięki też tym ludziom, słowaccy patrjoci potrafili nawiązać kontakt z rosyjskiemi czynnikami państwowemi, od których otrzymywali subwencję na wydawanie gazety „Narodnie Noviny". Trzeba również dodać, że prześladowani przez Madziarów Słowacy znajdowali w Rosji opiekę i zabezpieczenie.

Samo przez się oczywiste, że tego rodzaju opieka Rosji, podyktowana zresztą nie braterską miłością Słowian, lecz interesem politycznym, kazała słowackim rusofilom wierzyć w szczerość swej opiekunki, a nawet nieraz zamarzyć o tem, jakby się czuli doskonale pod jej opiekuńczemi skrzydłami. Wierząc w to, nie mogli zrozumieć, jakie są przyczyny, iż Polacy buntowali się stale przeciw owej protektorce świata słowiańskiego.

Z drugiej strony pewna część pokolenia młodszego, które postawiło sobie za cel nie akcję polityczną w pierwszym rzędzie, lecz pracę oświatową wśród ludu, uznało za potrzebne i konieczne współpracę z Czechami, jakkolwiek

trudnoby było twierdzić, że pokolenie starsze odsuwało się od tej współpracy; nie było przecież względem Czechów niechętnie usposobione, ale nie uważało zbliżenia do najbardziej bliskich sobie Słowian za jedyny swój program. Natomiast młodzi stanęli na stanowisku, że w momencie, kiedy się Słowacy czuli jakby opuszczeni przez Boga i przez cały świat, mogli widzieć otuchę w zbliżeniu się do najbardziej bratniego słowiańskiego narodu. Inicjatywa wyszła od ówczesnego profesora uniwersytetu praskiego, a obecnego prezydenta Czechosłowacji, T. G. Masaryka, który zwrócił uwagę na studentów słowackich, kształcących się w uniwersytecie praskim i skupiających się w związku „Detvan". Prof. Masaryk już w r. 1890 pragnął zachęcić członków „Detvana" do wydawania słowackiego czasopisma, któreby miało kierunek czechofilski, lecz trudności finansowe stanęły na przeszkodzie do zrealizowania tego planu. Tymczasem wchłaniali studenci słowaccy poglądy, zawarte w dziełach profesora Masaryka, jak „Ceska otazka" (Zagadnienie czeskie) i „Nase nynejsi krise" (Nasz obecny kryzys), jak również w piśmie „Nase doba" i na tej podstawie poczęli sobie tworzyć pogląd na sprawę narodową. Wogóle zaś oddziaływanie prof. Masaryka było dodatnie, albowiem umiał budzić zapał do pracy, wskazywać na moralne wartości życiowe, podnosić w kierunku uszlachetniania ducha i dochodzić do ideałów.

Tymczasem młodzież rozmyślała przez kilka lat nad sposobami wydawania własnego czasopisma, aż wreszcie w czasie uroczystości w Turcianskym sv. Martinie w r. 1897 sprawa posiadania własnego organu okazała się bardzo pilną. Jednakże wobec przedewszystkiem finansowych trudności, a do pewnego stopnia wobec braku doświadczenia w kierunku wydawniczym, sprawa ciągnęła się przez rok i dopiero w lipcu 1898 r. ukazał się pierwszy numer „Hlasu". Ale w starszych warstwach społeczeństwa nie znalazł uznania, zwłaszcza, że od pierwszego nu-

meru występował „Hlas“ całkiem ostro przeciw przywódcom narodowym, przedewszystkiem zaś przeciw Svetozarowi Hurbanowi-Vajanskiemu i czasopismu „Narodnie Noviny“; młode pokolenie mianowicie nie zgadzało się z tym kierunkiem politycznych i narodowych dążeń, jaki Sv. Hurban reprezentował, jak również z tem, że Turc. sv. Martin stawał się ośrodkiem dążeń kulturalnych i narodowych Słowaków.

Samo przez się zrozumiałe, że „Narodnie Noviny“ nie pozostały dłużne Hlasistom, że i tam uderzano w ostry ton, zwłaszcza nagany, że młodzież schodzi na bezdroża, a przez to szkodzi sprawie narodowej. „Hlas“ wychodził tylko przez lat osiem, lecz w roku następnym po jego upadku ukazuje się jego dalszy ciąg „Slovenskij Obzor“, który jednak istniał tylko przez rok 1907 i przez jeden miesiąc 1908 r. Ponieważ jednak wśród zwolenników „Hlasu“ nastąpiła silna koncentracja, wobec tego nie zrezygnowano z zamiaru wydawania czasopisma i już w r. 1909 ukazują się „Prudy“, które wychodzą do czasów wojennych, a po przerwie w okresie wojennym do dnia dzisiejszego. Redakcja „Prudów“ szła również w kierunku polityki realnej Hlasistów, a tem samem występowała przeciw programowi starszych przywódców narodu, jakkolwiek w polemice ujawniała więcej umiarkowania i spokoju. „Prudy“ zato wypowiadały się bardzo stanowczo za współpracą z Czechami, a najwyraźniejszym tego dowodem jest ankieta o współpracy czeskiej i słowackiej, jaką redakcja tego pisma przygotowała w roku 1914, a ogłosiła w r. 1919. Trzeba stwierdzić, że ankieta tego rodzaju była bardzo na czasie; okazało się, że za współpracą opowiedziało się bardzo dużo wybitnych jednostek tak ze strony czeskiej, jak i słowackiej. Ankieta owa była jakby nieświadomą zapowiedzią tych nadchodzących, a nieznanych nikomu w r. 1914 czasów, które doprowadzą nietylko do zbliżenia czesko-słowackiego, ale nawet do stworzenia wspólnego, niepodległego państwa.

Należy jeszcze dodać, że młodzież, która się skupiła około „Hlasu“, zdecydowała się wydać specjalny almanach. Decyzja nastąpiła w r. 1908 w Turc. sv. Martinie na zebraniu młodzieży, zwołanem z okazji dziesięciolecia wydania „Hlasu“; inicjatorem zjazdu był wspomniany praski związek „Detvan“, którego prezesem był wówczas Bohdan Pavlu. On to właśnie na zebraniu owem przemówił, że dziesięcioletnia praca młodzieży spowodowała poważne, oczywiście korzystne zmiany w życiu publicznem narodu. Przez lat dziesięć toczyła się walka między ojcami i dziećmi, przyczem dzieci zwyciężyły dzięki krytycyzmowi, trzeźwości i racjonalizmowi.

Zaznaczyć jednak wypada, że tendencje Hlasistów, które właściwie poczęły się realizować w czasach powojennych i to w kierunku czeskosłowackim w tym sensie, by w nowem państwie wytworzyć z dwóch narodów: Czechów i Słowaków, jeden naród, nie znalazły powszechnego uznania ze strony poważnej ilości Słowaków, którzy stanęli na stanowisku całkowitego zachowania narodowości.

Wspomniany wyżej almanach p. t. „Sbornik slovenskej mladeze“ został wydany w r. 1909 i zawierał obok artykułów literacko-krytycznych, kilka utworów wierszem i prozą młodego pokolenia literackiego.

Tymczasem stan rzeczy pod względem narodowym i kulturalnym przedstawiał się coraz gorzej. W r. 1900 mają Słowacy zaledwie trzydzieści jeden czasopism (Madziarzy mieli ich wówczas tysiąc sto trzydzieści dwa), przyczem z pośród tej nieznacznej liczby poważna ilość przypadała na pisma o charakterze wyznaniowym, wreszcie cztery tygodniki i jeden dziennik były utrzymywane za pieniądze madziarskie. Tak więc gazeta „Slovenské Noviny“ była organem dla inteligencji, a dla ludu wychodziły tygodnik „Krestan“ od r. 1893, „Vlast a svet“ od r. 1886, „Opravdovy Krest‘an“ od r. 1896 i „Nasa Nadej“ od r. 1897, oczywiście wszystkie w Budapeszcie. Samo przez się zrozumiałe, że te pisma, zatruwające jadem słowackie uczucia na-

rodowe, nie mogły żadną miarą wpływać na wzmocnienie się narodowości, bo przecież służyły do tego, aby ją zniszczyc.

Równocześnie Milan Hodza stara się o możność wydawania niezawisłego organu i istotnie udaje mu się w r. 1900 rozpocząć wydawanie w Budapeszcie gazety „Slovensky Dennik", który coprawda istniał tylko przez pół roku. Ale Hodza nie zrezygnował z zamiaru wydawania gazety i w r. 1910 wznowił swoje pismo, propagując w niem zasady postępu i polityki realnej. Tym razem gazeta miała powodzenie, zdobyła sobie bowiem sporą ilość prenumeratorów. W tym mniej więcej czasie założył ks. Andrzej Hlinka w Turc. sv. Martinie „L'udove Noviny", które w r. 1910 zostały przeniesione do Bratislawy, gdzie otrzymały nazwę „Slovenské L'udové Noviny". Wobec tego, że z końcem XIX stulecia dochodzi w Słowacji do głosu warstwa robotnicza, poczynają się ukazywać od r. 1904 „Slovenské Robotnicke Noviny" pod redakcją Emanuela Lehockiego. Gazeta owa, propagująca zbliżenie z Czechami, miała powodzenie i poważną ilość prenumeratorów i utrzymała się do r. 1915, to jest do czasu, kiedy przez Madziarów została zamknięta, podobnie jak „Slovensky Dennik" Hodzy. Lecz już w r. 1917 poczynają się „Robotnické Noviny" ukazywać na nowo i w dalszym ciągu propagują zasadę ścisłego zbliżenia z Czechami, co zresztą nie wynikało z jakiegoś wielkiego patrjotyzmu, lecz z programu robotniczego, który stał na stanowisku midzynarodowego zbliżenia warstw robotniczych wogóle. Po zamknięciu czasopisma „Slovensky Dennik" przeniósł Hodza cały ciężar oddziaływania politycznego na wydawany przez niego „Slovensky Tyzdennik" od r. 1903; pismo to miało bardzo silny wpływ na uświadomienie Słowaków w kierunku współpracy z Czechami. Wreszcie należy wspomnieć o czasopiśmie „Narodny Hlasnik" i miesięczniku „Slovenské Pohl'ady", który od r. 1881 wychodził bez przerwy

i był pismem literackiem. W momencie wybuchu wojny liczba pism podniosła się do czterdziestu pięciu, z czego jedna trzecia wyznaniowych. Lecz w czasie wojny spora ich ilość znikła, tak, że w r. 1918 było w Słowacji zaledwie dwadzieścia kilka pism.

W życiu politycznem czy państwowem nie mogli Słowacy grać żadnej roli, ponieważ ich do niego nie dopuszczano, a możliwe to było tylko pod tym warunkiem, że się ktoś wyrzekł swej narodowości. O powołaniu do rządu nie mogło być mowy, a uzyskanie mandatu poselskiego nastręczało bardzo duże trudności. W r. 1901 na pięćdziesięciu posłów, wybieranych z obszaru słowackiego, wystawili Słowacy dziesięciu kandydatów i to oczywiście ludzi najwybitniejszych. Pomimo nadzwyczajnych nadużyć podczas wyborów i pomimo utrudnień, udało się przeprowadzić wybór czterech posłów słowackich, co istotnie można było uważać za pewien sukces. Wybrani posłowie razem ze swoimi wyborcami stanowili jedno stronnictwo, zwane „Slovenska narodni strana".

Ale liczba ta, jakkolwiek dość nikła, nie utrzymała się zbyt długo i w chwili wybuchu wojny mieli Słowacy tylko dwóch przedstawicieli w parlamencie węgierskim, a mianowicie Ferdisa Jurigę i Pavla Blahę.

Jak z tych rozważań wynika, naród słowacki był niewątpliwie w położeniu niezmiernie trudnem i zapewne, gdyby nie zmiana stosunków w świecie, byłby popadł w cięższą jeszcze niewolę.

Nie jest to twierdzenie bez uzasadnienia, a konieczne zwłaszcza dla tych, którzy, nie znając stosunków na Węgrzech, łzy ronią z tego powodu, iż Madziarom odebrano całkiem słusznie Słowację. Gdyby jej nie odebrano, nastąpiłoby niewątpliwie dosyć szybko wynarodowienie, ponieważ jest ono niejako koniecznością dla utrzymania własnego istnienia. Przyczyny wynaradawiającej polityki Madziarów należy szukać w tem, że są oni rasą ubytkową,

o czem świadczy coraz mniejsza ilość urodzeń, co oczywiście pociąga za sobą zmniejszanie się ilości ludności. Fakt ten daje się zauważyć nie od dzisiaj i z tym faktem łączy się to okrucieństwo Madziarów, jakiego się w w. XIX dopuszczali względem dzieci słowackich, stosując względem nich te sposoby, jakie w dawnych czasach stosowali Turcy względem dzieci chrześcijańskich, które porywali i wychowywali następnie na dzielnych janczarów, swoich obrońców. Ponieważ zarzut, jaki się tu stawia Madziarom, jest zbyt ciężki i mógłby być poczytany za krzywdzące oszczerstwo, wobec tego lepiej na poparcie tego twierdzenia oddać głos historykowi (Jul. Botto, Slovaci, t. II, str. 58 — 59). „W r. 1873 panująca cholera strasznie przerzedziła słowacki lud w Hornej Trencianskej; pozostało tam wiele sierot, pozornie całkiem ubogich, o które madziarońscy powiatowi urzędnicy „troszczyli się“ pod pozorem humanitarności w ten sposób, że je wywozili w głąb Węgier do madziarskich gospodarzy i rzemieślników. Zabierali dzieci, które miały również rodziców. Biednych rodziców przekonywali, że tam dzieci ich będą miały dobrą opiekę, że będą chodziły do szkół i że staną się z nich dzieci bogate. Gdzie tego rodzaju przyrzeczenia nie pomagały, tam używało się gwałtu z pomocą bagnetów żandarmskich. Pierwsza taka ekspedycja nastąpiła w lipcu 1875 r. Dzieci wywożono wagonami zaplombowanemi, jak się wywozi bydło. W dolnych Węgrzech rozdano je drogą kupna, albo za uczniów, albo za pasterzy. Dzieci, z któremi się obchodzono surowo, uciekały pieszo do domów wzdłuż szlaków kolejowych. Celem uprowadzania było madziaryzowanie dzieci, aby przez to odświeżyć Madziarów zdrową słowacką krwią. Słowackie pisma piętnowały ostro ten handel ludzkiem mięsem, a niebawem stało się jawnem, że akcja była finansowana przez rząd. Dnia 24 lutego 1887 r. wywieziono z Trencianskiej żupy do Węgier znów 170 słowackich dzieci, pozornie sierot. Sporo z nich zabierano ro-

dzicom gwałtem. To samo powtórzyło się w r. 1888, kiedy osiemdziesiąt pięć „sierot“, tym razem 12 — 15-letnich dziewcząt, wywieziono wbrew woli rodziców. Z poprzednio uprowadzonych uciekało sporo do rodziców lub znajomych. To haniebne niewolnictwo opisał rosyjski pisarz Aleksander Papkov w książce, wydanej w r. 1889 po rosyjsku i po francusku p. t. „Niewolniczestwo u Madiar“ i „L‘esclavage au centre de l‘Europe“.

W wywożeniu słowackich dzieci pośredniczyło madziaryzacyjne, założone w Nitrze towarzystwo Femka (Felsömagyarorszagi közmivelödési egyesület — Górnowęgierski związek oświatowy). We wrześniu 1892 r. zabrano słowackie dzieci z okolic Zabokrick i Vel‘kych Topol‘cian z żupy Nitrianskiej pod pozorem nęcących obietnic. Dzieci chciały uciec już z Nitry, lecz madziaryzatorscy naganiacze ich nie puścili. Odwieźli je do Hódmezövasarhely, gdzie je ludzie kupowali na targu. Małe dzieci musiały wykonywać ciężką pracę, sporo pouciekało, a 19 września wróciło ich trzydzieścioro do swego kraju. W tym roku i w Liptowie i w Luznej zebrano przeszło dwadzieścioro dzieci, które wywiózł do dolnych Węgier tamtejszy proboszcz Rovder.

O wywożeniu słowackich dzieci między Madziarów zdano sprawę na posiedzeniu centralnego zarządu Femki w Nitrze 28 listopada 1892 r. W sprawozdaniu zwrócono uwagę na to, że zabierano wbrew woli rodziców i nie sieroty, które były wychowywane u kalwinów bezreligijnie, bez jakiejkolwiek opieki, a kiedy je chciano zmadziaryzować, uciekały. Wszyscy członkowie zarządu zdecydowali się wkońcu, że należy zaprzestać tego rodzaju gwałtów.

Ale zresztą to wywożenie dzieci wywołało już wielki krzyk w Europie, a ponieważ działo się to pod hasłem humanitaryzmu, zbyt kompromitowało perfidję madziarów“.

Należy jeszcze dodać, że na tle tego rodzaju faktów napisał Svetozar Hurban Vajansky poemat p. t. „Herodes“.

II.

Słowacy podczas wojny.

Z tego, co się powiedziało w poprzednim rozdziale, wynika, że wskutek stosunków, jakie na Słowacji panowały, nie mogło być mowy o wytworzeniu w momencie wybuchu wojny światowej jakiejś jednolitej konsolidacji. Trudność wynikała również stąd, że ilość inteligencji słowackiej, uświadomionej narodowo, a raczej politycznie, bo uświadomienie narodowe w szerokich warstwach istniało, nie dochodziła do tysiąca osób, wskutek czego nie było możności stworzenia jakiegoś frontu ogólno-narodowego lub ustosunkowania się względem madziarskiego ciemiężyciela. Zresztą całkowita dezorjentacja wynikała również stąd, że nikt dokładnie nie wiedział, jak długo potrwa wojna i jaki weźmie obrót.

O jakiemś ściślejszem porozumieniu się odrazu z Czechami lub innymi Słowianami, zamieszkującymi Austrję, nie mogło być mowy, ponieważ wojna zbyt szybko wybuchła i porwała wszystkich w swoje szeregi. Zapewne, porozumienie z Czechami spowodowałoby odrazu wytworzenie jakiejś wspólnej linji działania, tem bardziej, że Czesi mieli całkiem wyraźnie i od początku orjentację ententofilską, co się uwidoczniało w masowem przechodzeniu lub poddawaniu się „nieprzyjacielowi".

Coprawda i Słowacy chwycili się tej taktyki i u nich wyraźnie zaznaczyła się orjentacja ententofilska, a zwłaszcza rusofilska, lecz z braku odpowiednich przywódców nie mogła się uwidocznić tak wyraźnie. Warto jednak zaznaczyć, że i wśród Słowaków były próby buntu i przechodzenia na stronę nieprzyjaciela, a najsilniej zaznaczyło się to z końcem wojny, kiedy mianowicie trenczański 71 pułk, złożony z samych Słowaków, zbuntował się w Kragujewcu i oświadczył, że nie będzie walczył przeciw Serbom; oświadczenie to miało takie następstwa, że 26 czerwca

1918 r. rozstrzelano czterdziestu czterech z pośród zbuntowanych żołnierzy. Jednem słowem w Słowacji i w Czechach życie płynęło całkiem odmiennym trybem. Kiedy jednak zbliżał się kres wojny, kiedy sytuacja poczęła się wyjaśniać coraz bardziej i kiedy w Czechach myśl o niepodległości staje się coraz wyraźniejsza, wówczas też poczyna się krystalizować idea państwa czeskosłowackiego.

Najdogodniejszym punktem, gdzie można było omawiać te sprawy, był Wiedeń. Tutaj mianowicie przebywali dość często przedstawiciele polityczni narodu czeskiego, tu też łatwo się było skomunikować, wobec czego przybywali tam Słowacy różnych kierunków i tam właśnie omawiano sprawę współpracy, a nawet wysuwano konieczność utworzenia wspólnego frontu działania. W tym kierunku zbliżenia czesko-słowackiego rozpoczyna ze strony Słowaków całkiem energiczną pracę dr. Vavro Srobar, jeden z najwybitniejszych Hlasistów, który w r. 1917 przybył do Pragi w celu porozumienia się z Czechami i dla sprawy słowackiej pozyskał prezesa agrarjuszy czeskich Ant. Svehlę. Niebawem zyskuje Srobar jako współpracowników Słowaków M. Hodzę, K. Stodolę i dr. Ivana Dérera. Wśród czeskich polityków sprawa stworzenia państwa czeskosłowackiego stała się bardzo popularna, tak, że już 30 maja 1917 r. zdeklarowali się posłowie czescy w wiedeńskim parlamencie, że usiłują stworzyć niezależne państwo demokratyczne i to wspólnie ze Słowakami. Tego rodzaju deklaracja zaniepokoiła Madziarów, którzy poczęli rzucać groźby w stronę Czechów, jakkolwiek w tym wielkim zamęcie narodów, wchodzących w skład monarchji austrjacko-węgierskiej, w momencie, kiedy się dawało dostrzec, że się już rozpada, nie miało to żadnego znaczenia. Spowodowało to jedynie przykre następstwa dla dr. Srobara, który dnia 29 czerwca 1918 r. został przez władze madziarskie oskarżony o zdradę, a 14 sierpnia osądzony i wysłany do obozu dla internowanych w Cegledzie. Było to rezultatem akcji

Srobara tak w Czechach, jak i Słowacji. Tu mianowicie dnia 1 maja 1918 r. zwołali robotnicy socjal-demokratyczni do Liptowskiego sv. Mikulasa wiec, na którym Srobar wystąpił z pierwszą słowacką deklaracją, mianowicie z żądaniem stanowienia narodu słowackiego o sobie, wolności druku i cenzury. Dodać również należy, że Srobar umiał przekonywać niektórych Słowaków o doniosłości swego działania, a dowodem tego jest udział poety słowackiego Hviezdoslava w uroczystościach praskich w maju 1918 r. z okazji pięćdziesięciolecia czeskiego Na'rodniego Divadla. Uroczystości te, napozór kulturalne, miały wybitnie polityczny charakter.

Tymczasem przeznaczenie dziejowe pędziło z nieubłaganą siłą naprzód i zmieniało porządek państw. Austrja poczęła pękać i roztrzaskiwać się bezpowrotnie. Wytworzył się chaos, w którym każdy naród monarchji austrjacko-węgierskiej, widząc jej rozkład, postanowił decydować na własną rękę o swoim losie. Nadszedł 28 października 1918 roku. W dniu tym czeski Narodni wybor zwołał konferencję do Pragi, na której uchwalono pierwszą ustawę, a mianowicie: „Niezależne państwo czesko-słowackie rozpoczęło życie". Ustawę tę podpisali A. Svehla, A. Rasin, J. Stribrny, Fr. Soukup i V. Srobar, który był reprezentantem Słowaków. Tak zatem dnia tego nastąpił zdecydowany fakt, który postawił Europę, a i Stany Zjednoczone przed nowem państwem: Czechosłowacją. Lecz ogłoszenie Czechosłowacji, jako nowego państwa, nastąpiło bez porozumienia się ścisłego ze Słowakami, Srobar bowiem nie działał jako przedstawiciel całego narodu. Złożyło się jednak tak szczęśliwie, że Słowacy stanęli również na stanowisku stworzenia państwa czechosłowackiego.

Istniejąca mianowicie od połowy października 1918 r. Slovenska Narodna Rada, niezależnie od praskiej rezolucji, o której nie wiedziała, zwołała na dzień 30 października do Turcianskiego sv. Martina konferencję i tam ogłosiła dekla-

rację, podpisaną przez Matusa Dulę, jako przewodniczącego i Karola A. Medveckiego, jako sekretarza. Na konferencji turcianskiej zebrali się najwybitniejsi przedstawiciele Słowaków, którzy bez zastrzeżeń przyjęli „Deklarację narodu słowackiego“, głoszącą zasadę decydowania narodów o sobie. W deklaracji tej podkreślono również, że Narodna Rada, będąca przedstawicielką narodu czeskosłowackiego, mieszkającego w granicach Węgier, jest jego władzą najwyższą, że zatem Madziarzy nie mają prawa decydowania o narodzie słowackim. Ale ważniejszy jest jeszcze dalszy ciąg owej deklaracji, a mianowicie stwierdzenie, że naród słowacki jest cząstką i pod względem języka i pod względem kulturalno-historycznym jednego czeskosłowackiego narodu. We wszystkich bojach kulturalnych, które wiódł naród czeski, a które uczyniły go znanym na całym świecie, mieli udział również Słowacy. Co się tyczy ich stosunku do Węgier, to żądają całkowitej niezależności i powołują się na formułę Wilsona z dnia 18 października 1918 r.

Tegoż samego dnia, kiedy ogłoszono deklarację turcianską, przesłał Karolyi w imieniu Madziarskiej Rady Narodowej telegraficzne pozdrowienie Słowackiej Radzie Narodowej, przyczem uznał prawo samostanowienia o sobie Słowaków, a zarazem wyraził nadzieję, że oba narody, t. j. węgierski i słowacki, staną do współpracy. Jak z tego wynika, otrzeźwieli cokolwiek Madziarzy ze swego szowinizmu i godzili się, zapewne na krótki czas, na uznanie Słowaków za czynnik równorzędny w państwie, lecz oczywiście Słowacy nie poszli na lep złudnych obiecanek, wobec czego prezes Dula dał odpowiedź, że może dojść do porozumienia na zasadzie międzynarodowych umów, co oczywiście oznaczało odrzucenie propozycji madziarskiej.

Ale faktycznie ani deklaracja praska, ani turcianska nie mogły mieć znaczenia międzynarodowego, ponieważ Słowacja nie była jeszcze całkowicie swobodna, albowiem nie opuścili jej Madziarzy, a z drugiej strony konferencja poko-

jowa jeszcze się nie wypowiedziała co do niezależnego państwa czechosłowackiego. Lecz już sam fakt powstania państwa mówił za siebie, a równocześnie grunt na terenie międzynarodowym co do uznania suwerennego państwa czechosłowackiego był całkiem dobrze przygotowany.

Duże znaczenie w tym względzie miało porozumienie się Czechów i Słowaków, zamieszkujących Stany Zjednoczone. Wskutek prześladowania Słowaków przez Madziarów w ich własnym kraju nastąpiła, zwłaszcza między r. 1870 a 1880, masowa emigracja elementu słowackiego do północnej Ameryki, przyczem głównem miejscem osiedlenia była Pensylwanja, gdzie Słowacy znaleźli pracę w kopalniach, jak również New-York, Chicago i t. d. Początkowo o jakiemś zorganizowanem skupieniu lub pracy kulturano-narodowej nie mogło być mowy, a rozpoczęła się ona dopiero wówczas, kiedy wypędzny przez Madziarów kleryk P. V. Rovnianek przybył do Ameryki. Dzięki jego gorliwości zawiązuje sę w r. 1890 „Narodny Slovensky Spolok“, który ma stać się ogniskiem życia politycznego i kulturalnego na emigracji, a zarazem prowadzić bezwzględną walkę z Madziarami. Ta pierwsza organizacja pociąga za sobą pożyteczne następstwa, Słowacy mianowicie poczynają całkiem świadomie i celowo gromadzić pieniądze, które posyłają do kraju w celu wykupu ziemi. Już ten jeden czynnik dodaje cokolwiek otuchy ziomkom, którzy pozostali w kraju, ponieważ widzą daleką wprawdzie, ale dość skuteczną opiekę. W r. 1894 utworzył się „Narodny Fond“, który zebrane pieniądze przeznaczył wyłącznie na cele narodowe, a mianowicie na pomoc dla literatów, nauczycieli, na utrzymanie krajowych czasopism, jak również wszelkiego rodzaju wydawnictw. Niebawem poczynają się zawiązywać i innego rodzaju towarzystwa, jak zjednoczenie kobiet „Zivena“, organizacja sokolska pod nazwą „Telocvicna Slovenska Jednota Sokol“; równocześnie rozpoczyna

się dość wyraźna skłoność do współpracy z Czechami, których również dość dużo znalazło się w Ameryce.

Jednakże w tych różnych organizacjach było stosunkowo niewielu Słowaków i dopiero w r. 1907 ks. Stefan Furdek z Clevelandu założył organizację pod nazwą „Slovenska Liga", która postawiła sobie za zadanie zjednoczenie wszystkich Słowaków amerykańskich, a była ich poważna liczba, bo około miljona. Coprawda i ta Liga nie miała wielu członków, ale już przez swoje dążenie stawała się jakby oficjalnym reprezentantem Słowaków i tę rolę spełniała całkiem dobrze. Ta właśnie Liga spowodowała, że rząd amerykański począł uważać Słowaków za Słowaków, a nie Madziarów, jak to było poprzednio. Liga posyłała również subwencje czasopismom krajowym, a równocześnie sama podejmowała różne wydawnictwa, wśród innych ogłosiła drukiem książkę „Slovaci a Mad'ari", a w r. 1914 z inicjatywy Ivana Daxnera przygotowano jeszcze przed wybuchem wojny memorandum, które miało być rozesłane na cały świat. Wojna wprawdzie stanęła na przeszkodzie w dokładnem opracowaniu memorandum, lecz pomimo tego zrobiono z niego użytek i rozesłano je tak w Ameryce, jak i w Europie.

Wojna światowa obudziła wśród Słowaków amerykańskich duże nadzieje i wiarę w zmianę stosunków. Wobec tego rozpoczęli bardzo energiczną działalność, a dowodem tego był bardzo wydatny rozrost Ligi, której prezes A. Mamatey staje się jakby przedstawicielem Słowaków wobec władz amerykańskich. Przedewszystkiem zwrócono uwagę, a także budowano nadzieje na Rosji w mniemaniu, że ona będzie walczyła głównie o wolność słowiańskich narodów. Wskutek też tego przyjęto z wielką radością odezwę Mikołaja Mikołajewicza do Polaków, w której, jak wiemy, robił naczelny wódz pewne nadzieje na przyszłość. W pierwszym roku wojny przybył też do Ameryki w roli emisarjusza Konicek-Horsky, który propa-

gował myśl zjednoczenia Czechów i Słowaków w jedną gubernję pod panowaniem rosyjskiem. Ale Czechom tego rodzaju rozwiązanie sprawy nie bardzo się uśmiechało i podobało, chociaż o brak rusofilstwa posądzać ich nie było można. Uważali jednak słusznie, że lepiej jest myśleć o stworzeniu własnego państwa, niż gubernji.

Stosunki Czechów i Słowaków w Stanach Zjednoczonych były dość luźne, ale zasadniczo życzliwe. Nie było jednak takiej organizacji, którąby ich łączyła.

Dopiero próba zjednoczenia Czechów i Słowaków przejawiła się wiosną r. 1915 na wspólnym zjeździe w New-Yorku, ale tu myśl stworzenia jednolitego państwa jeszcze się dostatecznie nie skrystalizowała. Lecz już w tym samym roku dochodzi do porozumienia co do stworzenia wspólnego państwa, kiedy mianowicie „Narodni Rada Obci Ceskoslovenskych" proklamowała stworzenie państwa niezależnego i kiedy równocześnie zaręczyła Słowakom samoistność z własnym sejmem w starodawnej Nitrze. W tym to czasie powstaje „Ceské Narodni Sdruzeni", które zwołało zjazd na 22 października 1915 r. do Clevelandu w celu próby zrealizowania tych dążeń, jakie propagowali w świecie prof. Masaryk, dr. Milan Stefanik i Edw. Benes, mianowicie stworzenia niezależnej Czechosłowacji. Na zjeździe w Clevelandzie przyszło istotnie do ustalenia warunków, jakie mają obowiązywać te narody odnośnie do wspólnego istnienia w jednem państwie. Za podstawę przyjęto niepodległość Czechów i Słowaków, przyczem zgodzono się na ustrój federatywny z całkowitą autonomją Słowacji. Umowę podpisały obie strony, co było dowodem uzgodnienia stanowiska. Od tego czasu rozpoczyna się bardzo silna agitacja wśród emigrantów czeskich i słowackich za stworzeniem niezależnego państwa, a równocześnie poczynają się sypać obfite zbiórki na cel popularyzowania w świecie idei niepodległości. Niebawem Słowacy zdobywają dość poważny fundusz, dzięki czemu mogli wydać książkę

Jana Cajaka „Dejepis Slovakov“, jak i sporo innych książek, które tłumaczono na obce języki; jednem słowem, rozpoczęła się bardzo żywa, a i skuteczna propaganda, która się zaznaczyła przedewszystkiem w ogłaszaniu w obcych czasopismach artykułów o Słowakach i sprawie słowackiej i w wykładach po angielsku, głównie Mamateya, na ten sam temat.

Na kongresie chicagowskim Słowackiej Ligi 22 lutego 1916 r. postanowiono przerzucić akcję do Europy, szczególnie do Francji i Rosji. Wobec tego wyjeżdża dr. Stefan Osusky do Francji, a G. Kosik do Rosji, gdzie udało mu się rozpocząć redagowanie pisma p. t. „Slovenské Hlasy“ w Petersburgu. Tymczasem, kiedy w kwietniu 1917 r. wypowiedziała Ameryka wojnę państwom centralnym, Słowacy poczęli wstępować do armji, a Liga Słowacka otworzyła biuro informacyjne dla prasy obcej. Równocześnie przybyli z Sybiru kap. Pisecky i Jan Jancek młodszy i rozpoczęli werbowanie ochotników do armji czeskosłowackiej, albowiem Francja zgodziła się na stworzenie takiej armji, całkiem samodzielnej. Niebawem utworzyła się we Francji „Odbocka Narodnej Rady“, pierwsze wspólne ciało Czechów i Słowaków.

W maju 1918 r. przybył do Ameryki prof. T. G. Masaryk w celu dokładnego zorjentowania się w akcji czeskosłowackiej. Witano go wszędzie z entuzjazmem jako wodza narodu i za jego bytności w Pittsburgu podpisano nową umowę między Czechami i Słowakami, potwierdzoną przez Masaryka. Na mocy tej umowy mieli Słowacy mieć własną administrację, własny sejm, język urzędowy słowacki, własne szkoły, urzędy i wogóle życie publiczne. W gruncie rzeczy porozumienie pittsburskie nie mogło mieć bezpośredniego wpływu na tworzenie się państwa czeskosłowackiego, pośredni jednak miało. Przecież rzecznikiem uciskanych narodów stawał się Wilson, dla którego, dzięki wspólnej akcji Czechów i Słowaków, sprawa państwa cze-

chosłowackiego nie była obcą. Porozumienie pittsburskie dowodzi tylko, że i w Ameryce tak Czesi, jak i Słowacy marzyli o stworzeniu wspólnego, niepodległego państwa. Coprawda w czasach dzisiejszych, kiedy toczy się walka między Słowakami a Czechami o autonomję Słowacji, niejednokrotnie słyszy się o powoływaniu się Słowaków na Pittsburskie Porozumienie, którego Czesi nie dotrzymali, chociaż się sam prof. Masaryk na niem podpisał, ale zobowiązania nie dotrzymał. Jednak ze stanowiska prawnopaństwowego powoływanie się na wspomnianą umowę nie może być dostatecznym argumentem, ponieważ została uchwalona przez te osoby, które przebywając w Ameryce, nie mogły tworzyć państwa w Europie. Przecież mogły się okoliczności ułożyć w ten sposób, że porozumienie byłoby istniało, aleby państwo nie powstało. Takie postawienie zresztą sprawy nie przesądza absolutnie tego, jakie się miały ułożyć stosunki w państwie czechosłowackiem, chociaż to nie wyklucza, że byłoby możliwe, aby się ułożyły właśnie w myśl Porozumienia Pittsburskiego.

Trzeba jeszcze dodać ubocznie, że amerykańscy Słowacy żywo się zainteresowali losami nowego państwa. W r. 1919 przybyła na Słowację delegacja, złożona z pięciu wybitnych osób, w celu przekonania się, jak się układają losy Słowaków w nowem państwie. Równocześnie uznają za potrzebne zasilanie niepodległej ojczyzny, to też na kongresie Ligi Słowackiej w Serantone dnia 29 i 30 maja 1919 r. uchwalono zakupić dla Maticy Slovenskej drukarnię za 50 tysięcy dolarów, a 100 tysięcy dolarów przeznaczono na założenie sierocińca w Turcianskym sv. Martinie, wreszcie powołano do życia specjalny fundusz w wysokości 50 tysięcy dolarów, który był przeznaczony na popieranie studentów słowackich, zwłaszcza dla ułatwienia im studjów zagranicznych. W celu gospodarczego poparcia swoich ziomków założono z inicjatywy Ivana Bielka, redaktora amerykańskich „Narodnych Novin“, a zarazem

prezesa Ligi, organizację w New-Yorku pod nazwą „Obchodna Spolocnost“ w celu popierania handlu w kraju, a w Chicago powstała „Drevospracujuca Spolocnost“, która założyła liczne tartaki w Słowacji, szczególnie w Novom Meste.

Niezależnie od całkiem skutecznej akcji w Ameryce rozwijała się równolegle akcja w Europie, mianowicie w Szwajcarji i Francji. Tutaj główną zasługę ma chluba słowackiej nauki, dr. Milan Stefanik, który, dzięki doskonałym stosunkom, jakie posiadał w tych obu krajach, mógł działać bardzo skutecznie. Razem z dr. Stefanem Osuskym powodują to, że prasa francuska i angielska poczyna pisać coraz więcej o Słowakach (podobnie zresztą jak o Czechach), a nawet powiodło się w r. 1916 doprowadzić do tego, że „La Revue Hebdomadaire“ wydała 16 grudnia specjalny numer słowacki. Z pośród Francuzów sprawą słowacką starał się zainteresować swych ziomków prof. Ernest Denis, który w r. 1917 wydał nawet specjalną książkę p. t. „Les Slovaques“.

W grudniu r. 1917 pozwoliła Francja na tworzenie legjonów z pośród jeńców wojennych i ochotników amerykańskich; wówczas też, jak się już o tem nadmieniło, zaczęli się zaciągać również Słowacy do czeskich legjonów. Podobny fakt zaszedł we Włoszech, gdzie pozwolono na tworzenie legjonów czeskosłowackich od lutego 1918 r. Tutaj też zaczyna wychodzić od czerwca tegoż roku czasopismo „V boj“, mające na celu czynienie popularną akcję legjonową. Należy też zaznaczyć, że we Francji utworzył się 14 października 1918 r. tymczasowy rząd czeskosłowacki, przyczem ministrem wojny został mianowany M. Stefanik, a więc Słowak.

Trzeba stwierdzić, że Stefanik jest najszczytniejszym wyrazem dążenia Słowaków do niepodległości, że w nim ideał wolności doszedł do najwznioślejszych wyżyn, przez co też jest uważany za słowackiego bohatera narodowego.

Urodził się w r. 1880 w Kosaliskach w żupie mitrańskiej, gdzie ojciec jego był pastorem ewangelickim. Do szkół średnich uczęszczał w Sarvasi do r. 1898, a pomimo silnego nacisku madziaryzacyjnego pozostał wierny swej narodowości. Wskutek tego też zapisał się na wyższe studja w Pradze, a nie w Budapeszcie, przyczem był równocześnie słuchaczem uniwersytetu i politechniki. Początkowo studjował architekturę, lecz w r. 1901 zdecydował się poświęcić astronomji, wobec czego zrezygnował ze studjów politechnicznych, a uczęszczał na wydział filozoficzny w uniwersytecie. W r. 1904, po napisaniu odpowiedniej dysertacji, otrzymał stopień doktora filozofji. Przekonawszy się po ukończeniu studjów, że na Węgrzech nie zrobi karjery i że nie ma widoków uzyskania stosownego miejsca w Pradze, udał się do Paryża, gdzie początkowo żył w wielkiej nędzy. Ale po pół roku zaznajomił się z dyrektorem obserwatorjum astronomicznego, prof. Jenssenem, który się poznał na jego zdolnościach, zaopiekował się nim i niebawem wysłał go na Mont Blanc w celu obserwowania Marsa. Następnie był z prof. Jenssenem w Hiszpanji, a niebawem brał udział w międzynarodowym zjeździe astronomów. W r. 1906 znalazł się w Turkiestanie, gdzie w Samarkandzie zbudował obserwatorjum astronomiczne, aby stamtąd obserwować całkowite zaćmienie słońca.

W tym czasie zmarł prof. Jenssen, a Stefanik pozostał bez protektora, ale nie stracił nadziei i w r. 1909 przewędrował Algier i Sudan z zamiarem zbudowania tam obserwatorjum astronomicznego. W r. 1910 przyjął francuskie poddaństwo i wówczas wysłał go rząd na wyspy Tahiti, gdzie zbudował małe obserwatorjum. Po ukończeniu badań został wysłany jako reprezentant Francji na zjazd astronomów do Ameryki Południowej. Po powrocie marzył osiąść na stałe na wyspach Tahiti.

W chwili wybuchu wojny wstąpił jako pilot do wojska francuskiego, gdzie też dzięki odwadze i zasługom zdo-

bywał kolejno wszystkie stopnie oficerskie, a w lipcu 1918 był już generałem brygady. Jako lotnik, brał udział w bitwach na wszystkich frontach, a więc w Serbji, Rosji, Rumunji, skąd zdawał dokładne sprawozdania dowódcom francuskim, a równocześnie organizował, gdzie się dało, legjony czeskie i słowackie. Jemu też w przeważnym stopniu zawdzięczają Czesi i Słowacy tworzenie wojska narodowego, na czele którego stanął w lecie 1918 r. na Syberji, skąd wrócił w lutym 1919 r. do Paryża już jako minister spraw wojskowych Czechosłowacji. Niestety, nie było mu danem służyć swojej ojczyźnie, dla której pracował w czasie wojny z prez. Masarykiem bardzo wydatnie, ponieważ w chwili, kiedy przybył do ojczyzny samolotem w maju 1919, zabił się wskutek uszkodzenia aeroplanu przy Vajnorach.

Najwcześniej zaczęła się akcja w kierunku zbliżenia Czechów i Słowaków w Rosji. Tu mianowicie na pierwszym zjeździe w Petersburgu związków czeskich we wrześniu 1914 wziął udział warszawski kupiec J. Orszagh, który był reprezentantem myśli i dążeń Słowaków. Na zjeździe w Moskwie w marcu 1915 r. znaleźli się wśród Czechów dwaj Słowacy: J. Hraska i J. Sipka, również kupiec warszawski. Na zjeździe w kwietniu 1916 r. było 21 delegatów, a wśród nich dziewięciu Słowaków. Tutaj też następuje zawiązanie „Związku czeskosłowackich związków w Rosji“, a do jego zarządu weszli tak Czesi, jak i Słowacy, którzy zresztą zorganizowali się silniej w połowie roku 1916. Do tej chwili porozumienie między Czechami a Słowakami było dość luźne i dopiero na zjeździe 16 sierpnia 1916 r. w Moskwie wysunęła się kwestja wspólnego państwa, lecz myśl ta miała obok zwolenników, również przeciwników.

Bardziej konkretna forma porozumienia uwydatniła się dopiero po upadku caryzmu, a mianowicie w maju 1917 r. na zjeździe w Kijowie. Tutaj też nastąpiła ścisła organi-

zacja Czechów i Słowaków, przyczem dalszą akcję postanowiono przenieść do Petersburga. Ale siłą rzeczy przeniosła się akcja na Syberję, gdzie poczęły się tworzyć legjony. Tak więc odbył się w maju 1918 r. zjazd przedstawicieli czeskiego i słowackiego wojska, a drugi zjazd odbył się w Omsku. Początkowo jednak ze strony słowackich jeńców wojennych nie ujawniła się zbytnia ochota, albowiem nie orjentowali się należycie w sytuacji. Dopiero od 30 maja tegoż roku, kiedy w Petersburgu zaczęły wychodzić po słowacku „Slovenské hlasy" (wychodziły do 15 lipca 1920 r.), nastąpiło całkiem wyraźne zainteresowanie się ideą wspólnego państwa czeskosłowackiego. W Syberji również dla celów agitacyjnych wychodziły trzy pisma, mianowicie dwa w Irkucku i jedno we Władywostoku. Następstwem dobrej agitacji było mocne zasilenie legjonu czeskiego przez Słowaków, którzy przeważali w pułku siódmym, zwanym tatrzańskim i w pułku dwunastym.

Jak z powyższego widać, nietylko w kraju, ale i poza nim, szła działalność w kierunku stworzenia wspólnego państwa przez Czechów i Słowaków, z czego wynika, że w tym względzie było jednakowe dążenie, a tem samem jednakowe działanie. Stało się tak wskutek tego, że pomimo pozornej rozbieżności, miała ta akcja swego wodza, a był nim obecny prezydent Czechosłowacji. T. G. Masaryk wyjechał w grudniu 1914 r. zagranicę, a przedewszystkiem skierował się do Włoch, aby się przekonać o panujących tam nastrojach; następnie osiedlił się w Szwajcarji, skąd zaczął nawiązywać stosunki z decydującemi osobami Ententy. Tutaj już w połowie 1915 r. wypowiedział otwarcie myśl stworzenia niepodległej Czechosłowacji. Następnie był w Paryżu, a z końcem tego roku udał się do Anglji, gdzie jego akcja spotkała się z miłem przyjęciem. W maju 1917 r. znalazł się w Rosji i tam podjął akcję w kierunku tworzenia legjonów czesko-słowackich. W roku 1918, jak już wiemy, był Masaryk w Ameryce, gdzie znalazł dobrze

przygotowany grunt dla swoich niepodległościowych planów. Jakkolwiek w momencie ukończenia wojny nie było go w kraju, to jednak 14 listopada 1918 r. Zgromadzenie Narodowe wybrało go jednogłośnie prezydentem, a 21 grudnia powitał go naród w niepodległej ojczyźnie.

III.

Słowacy po wojnie [1]).

Z powyższego staje się widoczne, że myśl stworzenia wspólnego państwa przez Czechów i Słowaków wyłoniła się podczas wojny i mogła się zrealizować wskutek upadku Austrji, której nikt zbytnio nie żałował, ani nie miał zamiaru wskrzeszać.

Niebawem też na wiadomość o rozpadnięciu się monarchji austrjacko-węgierskiej nastąpiła chwila powszechnego entuzjazmu, otwierały się bowiem nowe horyzonty i rodziły się nowe programy pracy. Ale sprawa dla Słowaków nie była ani tak prosta, ani łatwa, ponieważ Madziarzy nie zrezygnowali jeszcze całkowicie ze Słowacji i trzeba było dopiero stopniowo oczyszczać ją z dawnych władców. Początkowo zapanowała wśród Madziarów, zwłaszcza wojska i żandarmerji, ogromna panika, tak, że rozbrajanie nie nastręczało żadnych trudności, ale po pewnym czasie ochłonęli Madziarzy, wobec czego zamierzali znów opanować Słowację, lecz tu już znalazły się wojska nowoutworzonego państwa czechosłowackiego; częściowo pod ich naciskiem, a częściowo pod naciskiem Konferencji Pokojowej, wstrzymali Madziarzy zapęd zaborczy. Równocześnie ujawniło się dążenie w tym kierunku, aby na Słowacji ustanowić jakąś władzę i wówczas pełnomocnictwa, jako jej minister pełnomocny, otrzymał dr. Vavro Srobar.

[1]) Por. obszerniej Stefan Radost. Problem słowacki, mies. „Nasza Przyszłość", wrzesień-październik 1934, tom XXXIX, str. 27 — 51.

który też 11 grudnia przybył do Żiliny, gdzie panowało duże zamieszanie, zwłaszcza, że zachodnia, południowa i częściowo wschodnia część Słowacji z miastami Bratislavą i Koszycami była jeszcze w rękach madziarskich. Jednakże już 4 lutego następnego roku władze Słowacji przeniosły się do Bratislawy, którą uznano za stolicę tej części Czechosłowacji. Jednak Słowacy musieli jeszcze raz ucierpieć od napadu Madziarów, kiedy mianowicie w marcu r. 1919 nastąpił na węgrzech przewrót bolszewicki. Dnia 19 maja wkroczyły wojska madziarskie na Słowację i zaczęły ją niszczyć, a państwo czeskie, jeszcze należycie niezorganizowane pod względem wojskowym, nie umiało stawić należytego oporu. Jednak komunizm nie okazał się popularny wśród Madziarów, nie miał przeto należytej siły, z drugiej zaś strony państwa zwycięskie postawiły Madziarom ultimatum, aby do dnia 30 czerwca 1919 r. opuściły Słowację, co też istotnie nastąpiło. Od tej dopiero chwili rozpoczyna się normalny byt na ziemi słowackiej.

Organizacja Słowacji, która to czynność była powierzona pełnomocnemu ministrowi, nie była łatwą sprawą. Do pracy w tym kierunku należało przystępować bardzo ostrożnie i przetwarzać stopniowo stare formy na nowe. Zadaniem ministra pełnomocnego było wydawanie zarządzeń i usiłowanie utrzymania porządku i spokoju, konsolidowanie stosunków i zabezpieczenie życia państwowego w Słowacji. Stosownie do tego założenia ministerstwo dla Słowacji składało się z referatów, których funkcje odpowiadały poszczególnym ministerstwom w Pradze, a funkcje te wykonywano całkowicie, tak, że minister dla Słowacji wraz ze swojemi referatami prawie wszystkie sprawy załatwiał sam, bez odwoływania się do Pragi. Z tego wynika, że była to prawie niezależna władza na Słowacji, zwłaszcza, że czeska władza centralna niezupełnie dobrze była obznajomiona z warunkami, jakie na Słowacji panują, a tem samem jej kompetencja, zamiast pożytku, mogłaby przy-

nieść niejednokrotnie szkodę. Tak tedy minister prawie na własną rękę dokonywał organizacji kraju, tworzył nowe urzędy, znosił stare, ustanawiał prawa i t. d. Równocześnie pełnomocny minister dla Słowacji zasiadał w gabinecie, przyczem w sprawach słowackich miał głos decydujący. Taki stan rzeczy trwał do r. 1926, t. j. do chwili wystąpienia socjalistów z rządu, która to partja miała ministra upełnomocnionego. W chwili wstąpienia do rządu w styczniu 1927 L'udovej Strany, przyjęta była dymisja ministra dla Słowacji, a nie nastąpiła nominacja nowego. Jego agendy zlikwidował administratywny referat, przydzielony następnie, jako referat specjalny, do ministerstwa spraw wewnętrznych.

Tymczasem przebudowa Słowacji posuwała się powoli naprzód i dopiero w r. 1923 nastąpił podział Słowacji na żupy, lecz władze centralne uznały ten podział za niepraktyczny, wobec czego w r. 1927 została rozdzielona Czechosłowacja na cztery ziemie: Czechy, Morawa, Słowacja, Ruś Podkarpacka, a na czele każdej ziemi wykonywa władzę prezydent danej ziemi. Tego rodzaju ustrój nie dowodzi, aby każda ziemia posiadała autonomję, podział taki nastąpił jedynie ze względu na potrzebę usprawnienia administracji. W ziemiach zostały zniesione żupy, a pozostały tylko powiaty.

W chwili utworzenia się Republiki Czechosłowackiej, miał naczelną władzę „Narodni vybor ceskosłovensky", który został powołany do życia 13 czerwca 1918 r. na zasadzie umowy wszystkich politycznych stronnictw czeskich. Nie było w nim przed 28 października ani jednego Słowaka, ponieważ udział w nim byłby poczytany za zdradę stanu ze strony Madziarów, niemniej jednak „Narodni vybor" w deklaracji z 14 czerwca wypowiedział się również w imieniu Słowaków. Władza jego skończyła się 12 listopada, wtedy bowiem rozpoczęło działalność Zgromadzenie Narodowe, które odbyło pierwsze posiedzenie 14 listopada.

W zgromadzeniu tem mieli Słowacy czterdziestu przedstawicieli, a dnia 11 marca 1919 r. liczba ich wzrosła do pięćdziesięciu czterech. Posłowie słowaccy utworzyli jedno stronnictwo, które przyjęło nazwę „Slovensky klub". Od 14 listopada 1918 tworzy się również pierwszy gabinet, w którym zasiadało dwóch słowackich ministrów, a mianowicie dr. Srobar, jako minister zdrowia i minister pełnomocny dla Słowacji, a obok niego dr. Milan Stefanik, jako minister wojny. W drugim rządzie od 8 lipca 1919 r. było 3-ch ministrów, ale w następnych gabinetach liczba ta obniżyła się znowu do dwóch ministrów i taki stan rzeczy trwa do dnia dzisiejszego.

W krótkim stosunkowo czasie jedno stronnictwo słowackie w pierwszym sejmie czeskosłowackim poczyna się rozpadać, a na jego miejsce tworzą się całkiem wyraźne partje o zabarwieniu społecznem. Tak więc już przy wyborach w r. 1920 zarysowały się całkiem wyraźnie partje, a mianowicie największe powodzenie miało stronnictwo socjalno-demokratyczne, które na 61 posłów w Słowacji zdobyło 25 mandatów. Przywódcami tego stronnictwa są dr. Ivan Dérer i dr. Ivan Markovic. Drugie stronnictwo, narodowe i rolnicze, na czele którego stali dr. Blaho, dr. Hodza i dr. Srobar, zdobyło 12 mandatów, wreszcie trzecie stronnictwo — ludowe zyskało 12 mandatów. Dwa pierwsze stronnictwa stały stale na stanowisku jednolitości czechosłowackiego narodu, trzecie zaś stronnictwo, którego wodzem jest ks. Andrzej Hlinka, przeszło od listopada 1921 r. do ostrej opozycji i od tej chwili walczy o pełną autonomję Słowacji. Nie mówiąc już o mniejszych partjach, wypada stwierdzić, że stronnictwo Hlinki nabiera coraz więcej siły i już w czasie wyborów w r. 1925 zdobyło 23 mandaty, podczas, gdy stronnictwo socjalno-demokratyczne musiało poprzestać tylko na dwóch mandatach.

Ponieważ opozycyjna działalność Hlinki zyskiwała coraz większą popularność wśród Słowaków, powołano go

w r. 1926 do rządu; był to zatem dwustronny kompromis, t. j. rządu centralnego i słowackiej opozycji. Okazało się wszakże, iż Hlinka podczas zasiadywania przez dwa lata w gabinecie nie był w możności zrealizować swych planów, to też w r. 1928 z gabinetu wystąpił, a przy najbliższych wyborach stało się widoczne, że idąc na kompromis, przyjął złą taktykę, ponieważ jego stronnictwo osłabło o pięciu posłów, jest więc obecnie osiemnastu. Hlinka tymczasem przeszedł do bezwzględnej opozycji i stał się postacią bardzo popularną przez wysunięcie postulatu całkowitego równouprawnienia Słowaków z Czechami. Udało mu się też wejść w porozumienie, a raczej zlać się z Narodowem stronnictwem Martina Razusa, a tem samem wzmocnić jeszcze bardziej opozycję. Stosunek Słowaków do Hlinki i do jego politycznego programu uwydatnił się najsilniej w lecie 1933 r. podczas uroczystości w Nitrze z okazji tysiąc setnej rocznicy zaprowadzenia chrześcijaństwa na ziemiach, przez Słowaków zamieszkiwanych. Wówczas to zebrani uczestnicy zażądali stanowczo i dość energicznie, aby Hlinka przewodniczył uroczystościom, przez co wysuwano go na pierwsze miejsce, wskazywano na niego, jako na swojego wodza. Trzeba dodać, że Słowacy, niezależnie od walki politycznej w kierunku równouprawnienia, prowadzą też walkę na polu kulturalnem i charakterystyczne w tym względzie jest doroczne zgromadzenie walne „Maticy Slovenskej“ z dnia 12 maja 1932 r. W tym czasie mianowicie pojawił się projekt ortografji słowackiej, ułożony przez docenta uniwersytetu w Bratislawie Vaznego. Otóż w projekcie tym dostrzegli Słowacy próbę zczechizowania swej pisowni, lub raczej zbliżenia jej do czeskiej. Wywołało to stanowczy protest i całą wojnę ortograficzną, a projektu oczywiście Słowacy nie przyjęli.

Z tego, co się tu powiedziało, nie można wyciągać żadnych daleko idących wniosków. Opozycja Słowaków, którzy stanęli na stanowisku, że Czesi i Słowacy nie mogą zlać

się w jeden naród, ponieważ są to dwa odrębne narody, nie ma w sobie nic rewolucyjnego; Słowacy pragną osiągnąć równorzędne stanowisko w państwie drogą stopniowej ewolucji, a zatem bez jakichś gwałtownych wstrząsów. Sprawę tę uważają za czysto wewnętrzną, nie pragną zatem przenosić jej na teren międzynarodowy, gdzie ich absolutnie nie razi nazwa ogólnopaństwowa Czechosłowacja. Wobec takiego postawienia kwestji niechętnie widzą jakąś pomoc z zewnątrz, gdyby się ona ujawniła, a już z całą pewnością należy stwierdzić, że jakiekolwiek namawianie ich w kierunku powrotu do państwa madziarskiego spotkałoby się z bardzo silnym odporem nawet ze strony tych wszystkich Słowaków, którzy są nieprzejednanie ustosunkowani do Czechów. Słowacy, broniąc swoich interesów, czynią to z całą rozwagą i zrozumieniem, że jakikolwiek krok w kierunku madziarofilskim byłby dla nich samych ogromnem niebezpieczeństwem. Słowacy, którzy przez wiele wieków, a zwłaszcza przez wiek ostatni, doznali ogromnej goryczy niewoli, mają aż nadto dobre doświadczenie, co znaczy współżycie z Madziarami, rasą całkiem od nich różną. Dlatego też, jeżeliby skądkolwiek przyszła interwencja w duchu nawrotu do Madziarów, będą ją Słowacy uważali za szkodę i niebezpieczeństwo dla siebie.

Zresztą wypada tu podkreślić z całym naciskiem, że gdyby przyszło do tego, co zresztą na zasadzie umów międzynarodowych jest niemożliwe, że Słowacy jednoczą się z Madziarami jako równi z równymi, to umowa tego rodzaju byłaby papierową fikcją i w najbliższym czasie zabraliby się Madziarzy do całkowitego zdławienia Słowaków, jak to zresztą czynią obecnie z mniejszością słowacką, którą mają u siebie.

Należy mianowicie wyjaśnić, że w chwili obecnej znajduje się pod panowaniem madziarskiem 150 tysięcy Słowaków, zgrupowanych w trzydzieści siedem gmin, mianowicie jest osiemnaście gmin katolickich, osiemnaście ewangelic-

kich i jedna grecko-katolicka. Słowacy nie posiadają pod zaborem madziarskim ani jednej szkoły narodowej, jedynie w Cabie istnieje szkoła przy kościele, lecz i tam odbywa się nauka w przeważającym stopniu w języku madziarskim. Nie mają też Słowacy ani jednego czasopisma, jedynie Madziarzy wydają dla nich „Slovenské Noviny“, lecz nikt się nie łudzi, jakie zadanie ma spełniać tego rodzaju gazeta. Byłoby rzeczą nader ciekawą zbadać dokładniej, w jaki sposób ustosunkowali się Madziarzy do tej swojej mniejszości, ci sami Madziarzy, których mniejszość w Słowacji posiada szkoły w języku ojczystym, czasopisma madziarskie, a nawet akademję w Bratislawie.

Należy stwierdzić, że t. zw. słowacki ruch separatystyczny, który obecnie zatacza coraz szersze kręgi, nie nosi w sobie pierwiastków rewolucji, lecz zmierza przedewszystkiem do tego, aby Słowacja była przedewszystkiem dla Słowaków. W chwili tworzenia się Czechosłowacji, wobec braku fachowych sił, spora ilość Czechów zajęła na Słowacji wybitne stanowiska, przyczem według utartego zwyczaju tak język czeski, jak i słowacki mają równe prawa. Obecność Czechów na wybitnych stanowiskach zrodziła obawę zczechizowania Słowaków, a poza tem z chwilą, kiedy przybywało coraz więcej słowackiej inteligencji, rodziła się dążność do zajmowania posad, które tymczasem były już zajęte przez Czechów. Nie ulega kwestji, że rozsądna polityka czeska pójdzie drogą ustępstw na rzecz Słowaków, którzy się słusznie uważają za równorzędny czynnik w państwie czechosłowackiem, tem bardziej, że Słowacy, uzyskawszy to, o co w tej chwili walczą, nie będą absolutnie dążyli do jakiegoś odrębnego państwa, ponieważ to nie leży w ich interesie.

Józef Gołąbek.

Jakież jest i jakież może być wogóle stanowisko Redakcji „Naszej Przyszłości“ do powyższego artykułu

w związku z wybitną akcją powstającego z jej inicjatywy „Związku Polskiej Myśli Państwowej“ w kierunku prowęgierskim, którego dosadnym wskaźnikiem jest np. inny artykuł w niniejszym tomie p. t. „Warszawa — Budapeszt“?

Aby to wyjaśnić, musimy przedewszystkiem podkreślić pewną zasadniczą różnicę między mentalnością i metodą ujmowania spraw przez „Naszą Przyszłość“ i wymieniony Związek, a różnemi innemi wydawnictwami i organizacjami w społeczeństwie polskiem. Różnica ta polega na tem, że nasze rodzime wydawnictwa i organizacje są zazwyczaj zbyt jednostronnie nastawione. Dzieli się więc polska prasa, a za nią i społeczeństwo, na dwa djametralnie sprzeczne kierunki, dyktowane nietyle trzeźwą rozwagą, ile emocjonalnemi sympatjami: prowęgierski oraz prosłowiański, w którym bezkrytycznie traktowane czechofilstwo istotną dzisiaj gra rolę.

Inaczej myśli i działa „Nasza Przyszłość“, jako głębiej pomyślana „Trybuna Polskiej Myśli Państwowej“, a więc propagatorka realnej, wolnej od emocjonalnych porywów, polskiej racji stanu. W naszem gronie i w naszych umysłach niemasz miejsca ani dla jednostronnego madziarofilstwa, ani dla jednostronnego słowianofilstwa. My, ludzie z pod znaku „Naszej Przyszłości“, zastanawiamy się sine ira et studio zawsze tylko nad tem, co jest lub może być dobrem i zdrowem dla interesów Polski. O interesach Węgier niech myślą Węgrzy, o interesach Czechów i Słowaków niech myślą Czesi i Słowacy. Ale jest bezsprzecznie rolą, zadaniem i politycznym obowiązkiem narodu polskiego myśleć zapobiegliwie o tem, co się dzieje przynajmniej bezpośrednio za granicą jego państwa. Karygodny swój indeferentyzm w tym względzie Polska już raz bardzo dotkliwie odpokutowała. Dlatego dziś, na podstawie ciężkiego dziejowego doświadczenia, nie może i nie powinien nam być obojętnym stosunek nasz zarówno do Węgier, jak i do sąsiadującego z nami narodu słowackiego.

Między dwoma tymi narodami panują zaostrzone stosunki, głęboko ugruntowane w długim rozwoju dziejowym. Słowacy boją się Węgrów, jak ognia i mają słuszne po temu racje, jak to wykazuje na faktach autor powyższego artykułu. Boją się ich tak dalece, że wolą — z dwojga złego — rzucać się, coprawda z różnemi zastrzeżeniami, w ramiona Czechów, w gruncie rzeczy bardzo im niesympatycznych i głosić jedność państwa czechosłowackiego, byle tylko nie dostać się zpowrotem pod eksterminacyjny ucisk madziarski.

Przypomina nam to żywo położenie i stanowisko tragiczne naszego narodu wobec Prusaków i Moskali. Jakkolwiek obaj ci nasi zaborcy dążyli ostatecznie do eksterminacji polskości i jakkolwiek Rosja zagarnęła znacznie większą część Polski i znacznie więcej krwi z niej wytoczyła, w materjalnem tego słowa znaczeniu, to jednak—znowu z dwojga złego — znaczna większość Polaków przechylała się w okresie zaborczym na stronę słowiańskiej, niżej kulturalnie stojącej Rosji, niż na stronę wyżej kulturalnego, a we wszystkiem obcego nam i brutalnie wynaradawiającego niemieckiego najeźdźcy.

Dlatego — w dosłownej analogji — woli Słowak swe zjednoczenie narodowe pod berłem praskiego lwa, walcząc tylko o swą odrębność narodową i kulturalną, niż powrót pod władztwo całkiem mu obcego pod każdym względem i brutalnego madziaryzmu. Trzeba więc dobrze zrozumieć, że obecne położenie i stąd także obecna mentalność polityczna Słowaków, są niemal identyczne z naszem położeniem i mentalnością większości naszych rodaków w początkach wojny światowej. Wszak i Polacy wówczas — z małym niestety tylko wyjątkiem, integralnie niepodległościowym— życzyli sobie wyraźnie zjednoczenia pod berłem słowiańskich Romanowów, byle tylko ujść zarozumiałemu, brutalnemu germanizmowi.

Z drugiej strony najoczywistsza racja stanu Polski

wskazuje nam na konieczność sojuszu z Węgrami. Potwierdza nam tę rację także długa tradycja historyczna, łącząca wielokrotnie oba narody, aż po fakt realnej pomocy węgierskiej, udzielonej nam w czasie bolszewickiej inwazji. Niebezpieczeństwa, grożące obu naszym państwom, są mutatis mutandis analogiczne, co wytwarza daleko idącą wspólnotę interesów, a zwłaszcza defenzywy.

Jakże więc uzasadnić stanowisko „Naszej Przyszłości“, która z jednej strony popiera najprzyjaźniej dążenia narodu słowackiego, z pełnem zrozumieniem dla jego położenia, nie przemilczając w tem wytknięcia Węgrom tego, co zgrzeszyli wobec Słowaków — z drugiej zaś propaguje per la vita jak najściślejszy sojusz z Węgrami?

Czyni to „Nasza Przyszłość“ właśnie dlatego, że nie poddaje się krótkowzrocznej jednostronności, ale stara się być wyrazem możliwie wszechstronnie działającej polskiej myśli mocarstwowej. Polskę, jeżeli jest naprawdę mocarstwem, stać na to, aby z autorytetem pewnego rodzaju arbitrażu występowała życzliwie wobec pewnych sąsiedzkich zagadnień, czy sporów. Polska może i powinna dopomagać w drodze przyjaznej, pokojowej interwencji Węgrom do spełnienia ich pewnych, bezspornie słusznych aspiracji i naprawienia zbyt wielkiej, a dla polskich interesów także niekorzystnej krzywdy, którą im wyrządzono — a równocześnie może i powinna dopomóc serdecznie, przynajmniej w drodze kulturalnej współpracy i stosownej propagandy, narodowi słowackiemu w jego rozpoczętem dziele narodowego, kulturalnego i gospodarczego odrodzenia.

I nie chdzi tu o żadną intrygę dyplomatyczną, nie chodzi o usiłowanie rozszczepiania wspólnoty czesko-słowackiej, jeżeli jej Słowacy pragną. Nie chodzi również o żadne intrygi międzynarodowe, zakulisowe, na rzecz Węgrów. Jasną i wyraźną musi być nasza polityka i każde nasze pociągnięcie. Stwierdzamy słuszność pewnych skarg węgierskich i dlatego oświadczamy Węgrom nasze sympatje i na-

szą moralną, propagandową pomoc, a jako pierwszy stopień realny na drodze do urzeczywistnienia swych aspiracji doradzamy Węgrom ścisły i w y t r w a ł y sojusz z naszym narodem. Jednocześnie z żywą sympatją odnosimy się do aspiracji słowackich, nie mieszając się jednak zupełnie do problemu, czy Słowacy chcą lub nie chcą wspólnoty państwowej z Czechami. To ich sprawa. Wystarczy nam — dla naszego bezpieczeństwa z tamtej strony — jeżeli wszystkie stronnictwa i wszystkie warstwy narodu słowackiego zrozumieją, że mają w Polakach serdecznych i bezinteresownych przyjaciół.

Wreszcie tłumaczymy Węgrom, że pewne ich dawne metody sztucznej madziaryzacji innoplemieńców, którzy ich państwo zamieszkiwali, zamieszkują i w przyszłości zamieszkiwać będą, metody, mające na celu sztuczne liczebne powiększenie węgierskości, nie ostoją się już wobec wymagań XX-go wieku i wobec współczesnego patrjotycznego uświadomienia najmniejszego nawet narodu. Tą metodą z czasów przedwojennych nie powiększą Węgrzy już dzisiaj liczby swych patrjotów, a przeciwnie, zbuntują cały świat przeciw sobie. Wszak i Polska rozumie doskonale tę prawdę w stosunku do swych Ukraińców. Żąda od nich tylko, aby zaprzestali swej taktyki nienawiści, swych knowań rewolucyjnych, swych bomb, rewolwerów, palenia folwarków, skrytobójstw i aktów sabotaży kolejowych. Poza tem niech sobie będą Ukraińcami, ile tylko zechcą, niech mówią, jakim chcą, językiem, niech pielęgnują swą narodowość i kulturę, niech utrzymują swe szkoły i inne instytucje, do których państwo polskie często dopłaca, a w części nawet wprost na nie łoży. Wszak Polska płaci nawet renty inwalidzkie b. żołnierzom ukraińskim, którzy przeciw niej walczyli, widząc w nich dzisiaj już tylko żołnierzy-inwalidów. Czy może jaki inny naród na świecie poszczycić się tak szlachetnem, rycerskiem traktowaniem sprawy?

Ale właśnie dlatego naszym węgierskim przyjaciołom

należy powiedzieć prawdę w oczy: „Nie, panowie, waszemi przedwojennemi metodami gwałtownej madziaryzacji innoplemiennych waszych współobywateli, które podobno jeszcze i dziś gdzieniegdzie stosujecie, nie odbudujecie nigdy Państwa Korony św. Szczepana, nawet w szczupłym zakresie ziem, do których istotnie możecie rościć prawa. My, Polacy, do żadnej eksterminacyjnej polityki postronnej nie przyłożymy ręki!“

Stwierdzamy jasno i wyraźnie to nasze stanowisko w sprawie węgierskiej i słowackiej, aby dać na tem miejscu wyjaśnienie tym, którzy naszej pracy równoległej na dwóch, narazie wrogich sobie odcinkach, nie mogą zrozumieć. Ta dwustronność, czy dwutorowość, w danym wypadku polega właśnie tylko na głębszym realiźmie politycznym, który wyklucza wszelkie krótkowzroczne, emocjonalne, jednostronnie entuzjastyczne porywy i dyktuje nam metodę traktowania wszelkich zagadnień publicznych z możliwie trzeźwym, zimnym objektywizmem, kalkulującym rezultaty na dłuższą metę.

Na jednym tylko punkcie jesteśmy tu nieprzejednani w imię dobrze przemyślanej polskiej racji stanu: Ruś Zakarpacka wrócić musi do Węgier, gdyż jest zbyt niebezpiecznym klinem w ręku Czechosłowackiej Republiki, zbyt sztucznym, niczem nie uzasadnionym jej nabytkiem zaborczym, kluczem do możliwych przyszłych intryg w sprawie ruskiej przeciw Polsce, zalążkiem jakiegoś większego tworu rusko-łemkowskiego, który kiedyś bez większego trudu może rozszerzyć się na naszą stronę Karpat i zacząć rozsadzać Małopolskę od południa jakąś nową a groźną sprawą rusko-czesko-łemkowską, oczywiście za czeskie pieniądze.

Przewidując to, głosimy z całym naciskiem, wbrew wszelkim subtelnościom i taktownościom dyplomatycznym: Ruś Zakarpacka winna wrócić do Węgier!

A Republiki czeskosłowackiej ta operacja specjalnie nie

osłabi, jakkolwiek na powierzchowny rzut oka mogłoby się to wydawać paradoksem. Przeciwnie, wzmocni ją, skonsoliduje i pozyska jej bliższych i pewniejszych przyjaciół, niż daleka, gdzieś nad Sekwaną, placówka masonerji Wielkiego Wschodu, na której opierają dzisiaj różne miarodajne czynniki czeskie swe główne nadzieje polityczne.

REDAKCJA.

CO O NAS MYŚLĄ SŁOWIANIE?

Wrażenia z II Międzynarodowego Zjazdu Sławistów (Filologów słowiańskich) w Warszawie.

Uwagi niniejsze nie mają charakteru sprawozdania naukowego z powyższego zjazdu — są to tylko wrażenia, dotyczące opinji i nastrojów słowiańskich w odniesieniu do Polski.

Już dobrze przed Wielką Wojną organizowano zjazd przygotowawczy slawistów w Petersburgu. Wówczas to pisał prof. Baudouin de Courtenay przeciw protestom młodzieży uniwersyteckiej, nie chcącej udziału uczonych polskich w owym zjeździe. Jasna rzecz, że polityki z nauką mieszać nie można — ale ciekawe są zawsze opinje polityczne uczonych. Słowianoznawstwo, badając jaknajszerzej kulturę słowiańską, jej dzieje i rozwój, stara się ogarnąć pośrednio i całokształt życia Słowian. W tej mierze już na pierwszej sesji plenarnej zjazdu referat prof. H. Ułaszyna, jak i głos w dyskusji nad nim, zabrany przez piszącego te słowa, uwydatnił niezmiernie szeroki zakres tej nauki, która nie powinna również zostać obcą zagadnieniu religji, dalej zaś sztuki i wielu innym, które się na pierwszy rzut oka bezpośrednio z nią łączą.

Jakież zaś jest studjum historji bez studjum polityki?

Ponieważ przytem slawiści są historykami języków i literatur, a nadto wogóle historykami kultury słowiańskiej i wzajemnych stosunków wśród Słowian, zagadnienie nasze nabiera wagi szczególnej.

Specjalnym zaś pieprzykiem sytuacyjnym są stosunki słowiańsko-sowieckie, a ostatnio czesko-słowacko-polskie. Na tle tem ciekawie przedstawiał się zjazd II (I-y był przed 5 laty w Pradze czesk.). Uczeni sowieccy nie wzięli w zjeź-

dzie udziału, gdyż „międzynarodowe“ ich państwo „nie życzyło sobie udziału uczonych swych w manifestacji słowiańskiej“.

Stanowisko to zgoła niesłuszne: nie szło wszak bynajmniej o „manifestację słowiańską“ — ale o zjazd specjalistów, wymianę myśli naukowych i ułatwienie cennego bezpośredniego kontaktu.

Uczeni — tak nawet w swoich przemówieniach — jak i, zwłaszcza, w rozmowach kuluarowych (oraz potem w prasie), wypowiadając się o zjeździe i sytuacji ogólnej w państwach słowiańskich, siłą rzeczy poruszali przynajmniej pewne zagadnienia polityczne.

Nazewnątrz charakterystyczną była kurtuazja, często będąca raczej wyrazem nakazu kultury, niż pokrywająca się z faktycznym stanem uczuć i zrozumienia się wzajemnego.

Jednak i przy tej poprawnośei towarzyskiej nie ustrzeżono się wymiany myśli tak w dziedzinie zagadnień zasadniczych, jak i aktualnych.

Słowianoznawstwo polskie zajmuje specjalne stanowisko wobec słowianoznawstwa pozostałych Słowian.

Wiadomo, że Słowianie zarzucają Polsce tendencję do stosowania „splendid isolation“.

Stanowisko Polaków, w sposób powyższy interpretowane, znajduje wyjaśnienie swe w dziejach ostatnich lat stukilkudziesięciu. Nauka słowiańska, będąca w dużym kontakcie z polityką państw słowiańskich, usprawiedliwia rzekomo to stanowisko Polski, lecz traktuje je z często niedającą się nawet ukryć niechęcią. Refleks stanowiska Polski spostrzegają słowianoznawcy słowiańscy i w opinjach, pracach i nastawieniu slawistów polskich.

Faktem jest, iż slawistyka polska językoznawcza góruje ilościowo i, naogół biorąc, również i pod względem jakości, nad slawistyką polską historyczno-literacką. Otóż w samym tym fakcie dopatrują się Słowianie u Polaków nastawienia chłodniejszego, oddanego jedynie fachowości, a nie

zaś roztrząsaniu pokrewieństw duchowych silniejszych i szerszych, związanych tak z fachowością, jak i z drugiej strony z zagadnieniami, a nawet i dezyderatami natury politycznej.

I istotnie, zaledwie część uczonych polskich ogarnia całokształt nauki slawistyki, znaczna bowiem większość pochłonięta jest wyłącznie zagadnieniami językoznawczemi. Dysproporcja ta nie jest — tak naukowo, jak i społecznie rzecz ujmując — zjawiskiem normalnem, ani zdrowem, jest natomiast faktem, łatwo podlegającym krytyce, bo rzucającym się w oczy. Ostatnie lata pomnożyły coprawda zastęp polskich badaczy kultury słowiańskiej, wśród których znajdują się już obecnie też znawcy życia politycznego Słowian. Zmniejsza to cokolwiek wyżej wspomnianą dysproporcję, ale jedynie w nieznacznym stopniu.

Sam stosunek Polaków do literatur słowiańskich drażni cokolwiek Słowian; aczkolwiek bowiem Polacy i Rosjanie mają piśmiennictwa najokazalsze i najznaczniejsze w Słowiańszczyźnie, to jednak niemniej jest faktem, iż Słowianie znają literaturę polską bardzo dobrze i lepiej od wszystkich innych narodów, Polacy zaś — jeśli wogóle jakieś wiadomości posiadają o literaturach słowiańskich i Słowianach, to tylko minimalne. I istotnie, dobrze przedstawiające się literatury Chorwatów, Czechów i inne, nie stoją o tyle poza piśmiennictwem polskiem, by ich narody miały o nas wiedzieć niemal wszystko, a my o nich niemal nic.

W sprawozdaniach czeskich ze zjazdu warszawskiego (były dodatnie, letnie i nawet negatywne, zwłaszcza dra Krejcziego) przebija ten zarzut. W jednem z objektywnych zaznaczono, że skoro Polacy witają z uznaniem nader liczne tłomaczenia czeskie z literatury polskiej, stojące — nawiasem mówiąc — na istotnie bardzo poważnym poziomie i wytykają nawet Czechom, czego to jeszcze u nich z literatury polskiej nie przetłomaczono, np. z Dąbrowskiej, Kossak-Szczuckiej i Wiktora — to czemuż wykazują równo-

cześnie taką ignorancję w zakresie głównych wydarzeń w literaturze czeskiej?

Zaznaczyłem, że nie uniknięto pierwiastków politycznych na sesjach naukowych, i to plenarnych; myślę głównie o dyskusji nad referatami prof. Handelsmana i Saławjowa, oraz o przemówieniu krakowskiem dra Heidenreicha. O ile w dyskusji nad nacjonalizmem słowiańskim każdy objektywny musiał przyznać słuszność wywodom profesorów Saławjowa i Sawickiego (z wyjątkiem stanowiska ich w sprawie ukraińskiej — w czem się zdezorjentował sprawozdawca „Biuletynu polsko-ukraińskiego, nie zrozumiawszy widocznie treści następujących po nich przemówień polskich), o tyle bardziej skomplikowaną jest sprawa, związana z uwagami dra Heidenreicha. Nazwał on w Krakowie konjunkturę polsko-czesko-słowacką wręcz nieprzychylną („neprziznivé podminky“) i nawoływał jedynie do współpracy myśli i duchów, cytując mickiewiczowską „Odę do młodości“.

A wszakże tło polityczne, tak niezmiernie tu ważne, nie da się zastąpić pracą tylko kulturalno-literacką. Te właśnie zagadnienia polityczne, które się złożyły na całokształt dzisiejszych stosunków Polski i Czechosłowacji, mają swe rozliczne zazębienia w płaszczyźnie politycznej i tam też należy szukać ich rozwiązań, tak, że samo hasło literackie. choćby tak potężne i tak poniekąd wszechludzkie. zagadnienia nie wyczerpie.

Otóż — co w tej mierze słyszano w kuluarach?

Jeśli wziąć gości naszych, uczestników slawistycznego zjazdu warszawskiego, ogólnie — to bolączki ich miały też ogólny charakter.

Narzekali — en bon ami — na wspomnianą właśnie powyżej „niesłowiańskość“ Polski, na brak zainteresowań Słowiańszczyzną, bo, choć słowianoznawstwo polskie rośnie, dzieje się to jednak dzięki zasłudze jednostek tylko.

Zdaniem różnych uczonych słowiańskich, zwłaszcza

Słowian południowych, Polska powinna zająć miejsce dawnej Rosji w Słowiańszczyźnie — powinna zatem mieć misję własną w świecie słowiańskim.

Rolę podobną powierzała już Polsce dawno, przed wiekami, wyśpiewana przez dubrownickiego mistrza Gundulića legenda, której echa nie trwały długo; już rzucone tam później hasło Gradića kierowało Słowian Południa ku Rosji.

I w Polsce nie brakło odpowiedniego sentymentu dla tych Słowian. Pisma Orzechowskiego, „turcyki" Warszewickiego zachęcały do obrony bratnich Słowian przed Turcją.

Wiek XIX ze swemi wahaniami politycznemi i martyrologją powstań nie zmontował, bo i zmontować nie mógł, mostu polsko-słowiańskiego.

Era krakowskiego „Świata słowiańskiego" przed wojną ułatwiała Polsce znajomość polityki słowiańskiej — naogół jednak niewielu u nas skorzystało z tych ułatwień.

Słowian od Polski oddalał stały konflikt polsko-rosyjski, a od Rosji Słowianie spodziewali się przesadnie dużo. Jak już wspomniano, trudno im było o objektywizm. Zato myśleli częstokroć, że kwestja polska im bruździ. Co do stosunków wzajemnych, to poszczególni Słowianie rozgrzeszali się dość łatwo: przeważnie winien był sąsiad — i ten zdradzał cokolwiek sprawę słowiańską.

Tak bywało w sporach międzysłowiańskich — i to nawet często w ich „naukowej" ocenie.

I zapomniano o tem, że odwieczna niezgoda słowiańska jest główną przeszkodą sławionej idylicznie i wyznawanej jako program realny „wzajemności słowiańskiej".

Deklamacje słowianofilskie — będące zresztą często wypływem szczerego, nie silonego bynajmniej sentymentu — tak były — i są do dziś — modne wśród Słowian, że brak Polski w tym chórze deklamatorów uderza jako coś widocznego.

Niemniej jednak tam, gdzie deklamacje te rozbrzmiewa-

ją echem donośnem, nie brak pro foro interno nawet zajadłego bratobójstwa.

I stosunków międzysłowiańskich — z punktu widzenia obserwacji sąsiedzkich warunków egzystencji — żadną miarą nie można nazwać zdrowemi.

Wiecznym się wydaje krąg tychsamych rzeczy niezałatwionych.

A czyż są załatwione zawsze w stosunku do Polski?

Tu zdenerwowanie chwili wobec zamroczonej konjunktury sugeruje niektórym Czechom pełne niepokoju pytania:

— Dokąd to dojdzie linja nowej polskiej polityki zagranicznej?

— Czy nie będzie się ona przypadkiem domagać... wspólnej granicy z Węgrami?

W rozmowach prywatnych słychać ze strony gości wiele ekskuz — nie chcieliby być niedyskretni i poruszać spraw drażliwych, ale — skąd się właściwie np. wzięło ostatnie zaognienie polsko-czeskie?

I t. d. i t. d.

O ewentualności własnej winy jakoś trudno gościowi naszemu z Zachodu powziąć choćby przypuszczenie. Jestto miara podwójna, nieobjektywna i dlatego zawodzi.

Ze strony polskiej bez wątpienia w mniejszym stopniu występuje znajomość kultury czeskiej. Ale to tutaj niema nic do rzeczy.

Lekceważenie zagadnień słowiańskich w Polsce byłoby rzeczą zupełnie nie na miejscu.

Ale jeszcze bardziej byłoby nie na miejscu — zapomnienie o własnej racji stanu.

Zbliżenie kulturalne, a nawet i więcej — dobrze, ale toż nad tem pracuje się poniekąd — i pracować można.

Niemożna jednak zacząć na siebie patrzyć przez okulary sąsiada, bo wtedy by się, rzecz jasna, zawsze widziało tylko to, co on chce zobaczyć.

Polska, prowadząca samodzielną politykę, mocarstwo-

wą, ma prawo do własnych inicjatyw i własnego sądu o rzeczach.

Nie należy sobie jej męskiej samodzielności tłomaczyć opacznie.

Ale — do słowianoznawstwa teoretycznego trzeba dodać jeszcze znajomość psychy współczesnej Polski i położenia jej obecnego, oraz wielkiej roli twórczej, wobec której nad niejednym szczegółem, nad niejednem pociągnięciem wypadnie się Słowianom dobrze zastanowić i nagłowić, przy równoczesnem dobrem przemyśleniu polityki własnej.

Toteż, o ile nasi goście z niekłamanym zachwytem podkreślali w rozmowach swych z nami w czasie zjazdu warszawsko-krakowskiego ogromny wzrost międzynarodowego autorytetu Polski, o ile zaznaczali to z naciskiem, jak dobrze spostrzegają rozwój nas wewnętrzny — nawet i w czysto technicznem tego słowa znaczeniu — i jak imponujące robi wrażenie mocarstwowa polityka Polski, o tyle w niejednem pozostawiali charakterystyczne niedomówienie, bądź wreszcie—en bon ami, lub jakby enfant terrible— poruszali takie kwestje, jak wyżej wymienione. Wypytywali też o dzieje inicjatywy „Naszej Przyszłości“ w sprawie zbliżenia państw środkowo-wschodniej Europy.

Przechodząc na teren wrażeń ogólnych, to ci z pośród nich, którzy odznaczają się zmysłem organizacyjnym, niejedno mieli do skrytykowania — a musi się im też przyznać sporą dozę słuszności.

„Złe umeblowanie Warszawy“, którą „wartoby poprzestawiać“, podkreślali liczni. Rażące nędzne domki przy wspaniałych budynkach, ot choćby fragmencik z Okólnika i t. p. i t. p. — to szczegóły, liczne i częste, a mówiące — czy też nawet krzyczące! — same za siebie.

Wiele różnych zewnętrznych wad i braków naszego miasta nie uszło bystrej uwagi naukowych członków tego kongresu slawistów i towarzyszących im czujnych dziennikarzy.

Przedstawienie w teatrze, na które gości zaproszono, nie było odpowiednie.

Był to „Ludwik" Delavigne'a.

Może chciano gościom zaimponować przepychem wystawy i artyzmem naprawdę wybornej gry aktorów.

Ale sztuka ta właśnie im, slawistom, nic specjalnie nie mogła powiedzieć.

W niejednem przyganiano też prasie—w sprawie streszczeń referatów i dyskusji.

W streszczeniach takich, widocznie często niedbale ułożonych, cytowano przewodniczących i referentów, którzy nietylko, że nie przemawiali, lecz ich wogóle nie było na zjeździe!

Poza tem streszczano mocno dowolnie, z pominięciem rzeczy nieraz istotnych.

Czasem wypuszczono zupełnie myśl przemawiającego, opuszczono ważne, decydujące zdania i przekręcono inne, z czego mogły wynikać przykre nieporozumienia. Aczkolwiek zastrzegłem się u wstępu, że szkic niniejszy, dotyczący opinji i wrażeń slawistów, uczestników zjazdu warszawsko-krakowskiego, nie pretenduje bynajmniej do charakteru sprawozdania naukowego z tego zjazdu, tylko jest tem, co zaznaczono już w podtytule artykułu — korzystam z okazji, by w paru słowach skorygować jedno ze sprawozdań prasowych warszawskich, zresztą pochlebne dla mnie w tonie i w treści. Napisano w niem bowiem, że przedstawiłem w mym referacie o prawniku polskim Wacławie Aleksandrze Maciejowskim i jego historji porównawczej prawodawstw słowiańskich, jak to „Balzer gromił Kutrzebę, a ten zastawiał się Abrahamem". Jako żywo, nic podobnego nie mówiłem! Zaznaczyłem natomiast, że o Maciejowskim podzielone są zdania w nauce — jedni, jak prof. Kutrzeba, a także prof. Abraham, uważają go za uczonego miary pośledniej, drudzy zaś, jak prof. Dąbkowski i zwłaszcza — najbardziej

autorytatywny — ś. p. prof. Oswald Balzer, postawili go względnie wysoko.

Przepraszając Redakcję i Czytelników za owo osobistego charakteru sprostowanie, którem nadużyłem na chwilę ich cierpliwości — powtarzam, że zestawienie ogólne dobrze zorganizowanego zjazdu, opinji i wrażeń zagranicznych, a w szczególności słowiańskich jego członków, oraz wrażeń obcujących z nimi Polaków — niewątpliwie zasługiwało na zainteresowanie.

Bardzo ciekawym i miłym faktem było dla nas dobre opanowanie języka polskiego, polskie przemówienia pp. Cazina, Heidenreicha, prof. Ileszića, prof. Mavera, prof. Molégo, polska wymowa francuskiego prof. Hermana i angielskiego prof. Whartona — świadczące o tem, że mocarstwowe znaczenie Polski, przez innych coraz szerzej uznawane, zachęca również świat cały (bo i przedstawicieli drugiej półkuli!) do coraz intensywniejszego studjum polszczyzny, polonistyki, stosunków polskich — i roli naszej Ojczyzny!

W reasumcji wrażeń ogólnych stwierdzić można ciekawy fakt, jakgdyby mniejsze narody zachodnio i południowosłowiańskie, rezygnując w danych warunkach z dawnej roli koncentracyjnej Rosji dla świata słowiańskiego, zaczęły się, nolens volens, skupiać dokoła Polski. Witamy tę myśl ze strony współpracowników „Naszej Przyszłości“ z żywem zadowoleniem, gdyż mimo wszelkich chwilowych trudności, leży ona, jak czytelnikom dobrze wiadomo, oddawna na naszej linji — chociaż, jako praktyczni działacze, przewidujemy realizację tej konsolidacji świata zachodnio i południowosłowiańskiego nie wyłącznie tylko po linji i w ramach slawizmu.

Jerzy Pogonowski.

ŻYCIE GOSPODARCZE — TO NIE SALA SZPITALNA!

List ankietowy.

Przy końcu artykułu, zamieszczonego w poprzednim tomie p. t. „Rewizja światopoglądu gospodarczego“, zawierającego skonkretyzowanie naszych dotychczasowych obserwacji i wykształconych na nich poglądów na stan obecny i przyszłość życia gospodarczego, zaprosiliśmy czytelników naszych do zabrania głosu w tych sprawach—i to specjalnie na wysuniętej j możliwie wszechstronnie przez nas motywowanej platformie. Przypominamy, że ostatecznym celem naszych wywodów było stwierdzenie, iż dla prawdziwie skutecznej obrony kapitalizmu prywatnego i utrzymania przynajmniej względnej swobody inicjatywy i pracy gospodarczej, niezbędną jest w warunkach XX wieku pewna, gruntowna rewizja z jednej strony mentalności prywatnych sfer gospodarczych i ich zasadniczych poglądów na istotne cele i rolę życia gospodarczego, z drugiej zaś różnych pojęć prawniczo-fiskalnych, uważanych dotąd przez specjalistów za nietykalne tabu ekonomiki publicznej wszelkiego rodzaju, normującej stosunek świadczeń jednostki do państwa i oficjalnych instytucji wogóle.

Zdajemy sobie dobrze sprawę, że treść i tendencje tego naszego publicystycznego wystąpienia nie mogą być popularne już choćby z tego tylko tytułu, że godzą w pewien, od niepamiętnych czasów „ustabilizowany system“ w mózgach gospodarczych z jednej, a prawniczych z drugiej strony. Można z łatwością wykonać zamach stanu lub nawet sprowokować rewolucję, ale niezmiernie trudnem i niewdzięcznem jest zadaniem wstrząsnąć na drodze rzeczowej argumentacji pewnym ustabilizowanym, po ojcach i dzia-

dach odziedziczonym systemem pojęć, które skrystalizowały się nawet w zdawkowych, uświęconych „tezach egzaminacyjnych“. Przewrót polityczny daleko łatwiej da się dokonać, niż obalenie einer Doktorfrage.

To też z przyjemnem zdziwieniem otrzymaliśmy artykuł w odpowiedzi na naszą ankietę, który zamieszczamy poniżej, żałując tylko, że autor nie dał nam się nakłonić do podpisania go swem nazwiskiem, przez co jego wywody zyskałyby w oczach czytelników więcej mocy.

W odpowiedzi na ankietę, rozpisaną w październikowym tomie „Naszej Przyszłości“ na temat gospodarczy w artykule p. t. „Rewizja światopoglądu gospodarczego“, zauważyć muszę przedewszystkiem, że w każdym razie źle się dzieje w samych podstawach naszego ustroju gospodarczego, jeżeli występuje z programem ich rewizji nawet tak bezkompromisowo prokapitalistyczne i „konserwatywne“ wydawnictwo, jakiem jest „Nasza Przyszłość“. Śledząc uważnie poprzez długi szereg tomów jej twarde stanowisko w sprawie prawa własności prywatnej i swobody uczciwego zarobkowania, tem bardziej uderzony jestem krytycznym poglądem, wyrażonym na łamach takiego organu przeciwko „mentalności sfer gospodarczych“ i to w sposób tak zdecydowany, jaki przebija z każdego wywodu cytowanego artykułu.

Bo istotnie, dotychczas widziałem i czytałem ataki na słabości ustroju prywatno-kapitalistycznego ze strony różnorakich czynników postępowych lub wywrotowych. Widzę także rozmaite metody, stosowane przez rządy różnych państw, celem wybrnięcia z kryzysu i jakiegoś rozwiązania kwestji społecznej, które to metody godzą nieraz dotkliwie w ustrój prywatno-kapitalistyczny. Ale nie widziałem dotąd jeszcze ataku na ten ustrój ze strony konserwatyzmu, w którego samem założeniu leży przecież od niepamiętnych

czasów idea konserwowania jakiegoś — jak to „Nasza Przyszłość“ nazywa—ustabilizowanego ustroju, a zwłaszcza istniejącego w każdej danej epoce prywatnego większego stanu posiadania. Rozumiem wprawdzie, że konserwatyzm, jakiego wyrazem jest „Nasza Przyszłość“, różni się bardzo od tego, co w potocznem życiu politycznem rozumie się zwykle pod nazwą „konserwy“. Niemniej jednak ideologja tego wydawnictwa opiera się o pewien — i to bardzo silny — światopogląd konserwatyzmu zasad i broni prawa własności prywatnej, jak to nieraz z akcentem podnosi, nawet przeciw „oportunizmowi samych konserwatystów“. Jeżeli więc z szeregu artykułów, ogłaszanych od dwóch lat w „Naszej Przyszłości“, a zwłaszcza w ostatnim, biją gromy w „system ustabilizowany mentalności sfer gospodarczych“, to objektywny czytelnik przyjść musi do przekonania, że chyba istotnie źle się dzieje w ustroju prywatnego kapitalizmu.

Bo też tak i jest w istocie. Czytałem niedawno w „Ilustrowanym Kurjerze Krakowskim“ charakterystyczny artykuł wstępny, w którym z naciskiem podnoszono, że życie gospodarcze, a zwłaszcza przemysł, to teren naturalnych walk i zmagań, a nie jakaś sala szpitlna, gdzie starają się utrzymać przy życiu nawet beznadziejnych chorych.

Przemysły kartelowe — dowodzi „I. K. C.“ — duszone w ramach dobrowolnych lub przymusowych, wyglądają dziś jak Kasa Chorych lub szpital, w których leczą się fabryki, niezdolne do życia, o przestarzałych, zużytych urządzeniach, kosztem fabryk, zdolnych do życia i rozwoju. Wyeliminowanie ryzyka z życia przemysłu, to wyeliminowanie samego życia, to skazanie przemysłu na powolną wegetację. Najwyższym sprawdzianem wartości każdego przedsiębiorstwa — to jego sprawność w walce i sprawdzian ten nie może być bezkarnie z gospodarki przemysłowej wyeliminowany.

Tyle „I. K. C.“ w kwestji, która nas tu specjalnie obchodzi. Każdy, to zna tę obecnie najbardziej w kraju i zagranicą rozpowszechnioną polską gazetę, przyzna, że ona również nie należy chyba do pism antykapitalistycznych, ale przeciwnie, toczy planową walkę z etatyzmem w obronie możliwej swobody gospodarki prywatnej. Ale proszę zważyć jej powyższe argumenty. I tu widzimy ostrą krytykę obecnego gospodarczego systemu.

Więc — etwas ist faul im Staate Dänemark! Ale co?

„Nasza Przyszłość“ ma zupełną rację, mojem zdaniem, że określiła sobie w swych ostatnich artykułach ścisłe granice swego zainteresowania i swej działalności w dziedzinie gospodarczej. Ma słuszność, że główny swój cel na tem polu widzi w przeprowadzeniu pewnej zasadniczej reformy gospodarczego myślenia i wywołania w umysłach sfer gospodarczych objektywnej refleksji co do właściwej istoty, celów, zadań i roli życia gospodarczego — co wszystko wymaga rzeczywiście pewnej rozumnej rewizji w duchu nowoczesnych warunków życia. Słusznie natomiast odrzuca od siebie zajmowanie się bliższymi szczegółami i postulatami życia gospodarczego, zarówno z naukowego, jak i praktycznego punktu widzenia, pozostawiając te szczegóły odpowiednim czynnikom zawodowym, naukowym i oficjalnym. Tak ściśle określone granice działania nietylko nie pomniejszają, ale przeciwnie, wzmocnić mogą i uwypuklić tę działalność.

Rozumiem, że chodzi o wykrystalizowanie i rozpowszechnienie w kraju pewnej, specjalnej szkoły nowoczesnego gospodarczego myślenia, opartej z jednej strony na niewzruszonych zasadach własności prywatnej i swobody indywidualnej, ograniczonej tylko niezbędnemi wymogami istotnych potrzeb państwa i zbiorowego życia wogóle, a z drugiej strony na przeświadczeniu o konieczności walki z krótkowzrocznym egoizmem i szeregiem zakostniałych pojęć świata gospodarczego, oraz z biurokratycznym „ka-

meralizmem“ różnych utartych pojęć prawniczo-fiskalnych — a to wszystko w imię uzdrowienia i odmłodzenia prywatnego kapitalizmu i wyswobodzenia go z nadmiernych pęt etatyzmu.

Zdaje mi się, że w ten sposób dość dobrze ujmuję definicję szkoły gospodarczej „Naszej Przyszłości“.

Panowie z pod jej znaku, przenosząc się ponad szczegóły bytu rolnictwa, przemysłu, handlu i finansów, które wprawdzie niemal stuprocentowo absorbują dzisiaj umysły ludzkie, ale zarazem zmieniają się z roku na rok z nieznaną przedtem szybkością konjunkturalną, jak w kalejdoskopie, stawiacie sferom gospodarczym pewne „psychoanalityczne“ pytanie i wezwanie: Zastanówcie się, poco jesteście na świecie, jaka jest właściwa rola waszej pracy i jakim istotny stosunek życia gospodarczego do społeczeństwa i państwa? I naodwrót, niech państwo zastanowi się, poco egzystuje i jaki winien być przeto jego stosunek do prywatnej, zarobkowej pracy gospodarczej?

Czyli, innemi słowy, apel Wasz pod adresem sfer gospodarczych i państwa tak możnaby wyłożyć: Wstrzymajcie się na chwilę w swym bezgranicznym rozpędzie i zastanówcie się spokojnie, objektywnie, według zasady „zdrowego rozsądku“, nad waszym wzajemnym stosunkiem! A gdy przejść zdołacie na tę platformę objektywnej refleksji, to wówczas dopiero będziecie w stanie myśleć i mówić racjonalnie o kryzysie gospodarczym i zaczniecie stopniowo znajdywać skuteczne środki do wybrnięcia z panującego społeczno-gospodarczego impasu. Dzisiaj bowiem ani prywatny kapitalizm, ani publiczny fiskalizm nie są w stanie objektywnie, szczerze, myśleć i mówić o swem położeniu, gdyż przeszkadzają im w tem różne „psychiczne hamulce“, wywołane oddawna teorjami społecznemi, bezbrzeżną zachłannością zarobkową, ślepą wiarą w różne utarte autorytety i doktryny ekonomiczno-prawnicze oraz najnowocześniejszą koncepcją mniej lub więcej „totalnego“ państwa.

Tak rozumiem — w głównym zarysie — podstawowe zasady Waszej szkoły, Panowie z pod znaku „Naszej Przyszłości“. Pragnę tu w krótkości zanalizować, co za Waszą tezą przemawia?

Nie mogę wydać o niej dziś jeszcze jakiegoś stanowczego sądu, gdyż zbyt pobieżnie dotąd się znamy i musielibyśmy w całokształcie Waszych twierdzeń dokładnie się porozumieć. Z tem wyraźnem zastrzeżeniem mogę jednak przyznać Wam już słuszność na jednym ważnym punkcie: istotnie fiskalizm publiczny z jednej, a ogólna, niemal odwieczna tendencja prywatnych sfer gospodarczych z drugiej strony, zmierzają w jakimś szalonym wyścigu do — kapitalizmu państwowego, od którego jest już tylko jeden krok do komunizmu. Tak rzeczywiście cała ta ewolucja wygląda, obserwowana z pominięciem szczegółów, z lotu ptaka. I na tym torze wyścigowym występują też różne symptomatyczne zjawiska. Prywatne życie gospodarcze, widząc przed sobą tylko słup mety, to jest jak największy zarobek za wszelką cenę, a nie patrząc pod nogi na wszelakie przeszkody i nierówności gruntu, załamuje się oczywiście w swym biegu, dostaje astmy, wycieńczenia i — zatracając z konieczności swój obrany cel — chwyta się konwulsyjnie za połę swego zwycięskiego, fiskalno-etatystycznego konkurenta, z rozpaczliwą, a bezkrytyczną nadzieją, że on mu dopomoże. Etatystyczny zaś współzawodnik, ciesząc się z tego osłabienia liberalistycznego konkurenta, obciąża się nim tak, że i on stopniowo w biegu ustaje. W ostatecznym więc rezultacie obaj współzawodnicy wyczerpują się, nie dochodzą do mety bogactwa i ubożeją wzajemnie.

Czy nie trafne porównanie? Przetłumaczmy je na język realny.

Sfery gospodarcze, hołdując bezkrytycznie atawistycznej maksymie, że „interes przedewszystkiem i za wszelką cenę“, że więc wymogom życia gospodarczego wszystko powinno się podporządkować — państwo, społe-

czeństwo i zdrowy rozsądek — dążą uparcie wszelkimi sposobami do podtrzymania idei progresywnego, bezbrzeżnego gospodarczego rozmachu, nie dopuszczając na tym zasadniczym punkcie żadnej dyskusji, żadnej nawet refleksji. Godzą się raczej na wszystko inne, nawet na najcięższe klęski indywidualne, zastoju, bankructwa i bezrobocia, na najniebezpieczniejsze paljatywy bezgranicznego obdłużania i stałej egzystencji z dochodów brutto, byle tylko nie poddać w wątpliwość ani na chwilę uświęconego waloru maksymy o rzekomej niezbędnej konieczności ustawicznego ilościowego rozwoju życia gospodarczego.

A ponieważ rzeczywistość przeciwstawia tej przestarzałej, bezwzględnej, brutalnej maksymie coraz więcej przeszkód realnych, więc zatamowane niemi w swym rozpędzie prywatne sfery gospodarcze — nie przestając głosić coraz bardziej zachrypniętem gardłem i z coraz większą niewiarą postulatów niby liberalizmu — rzucają się w objęcia państwa. Pereat gospodarstwo prywatne, fiat gospodarstwo „planowe", z coraz większą ingerencją etatyzmu, byle tylko nikt nie podniósł podstawowego zagadnienia: O ile ma rację bytu produkcja i praca gospodarcza i w jakich obracać się może tylko granicach?

Tego pytania boi się człowiek gospodarczy więcej, niż djabeł święconej wody. Raczej z bolszewikiem będzie dyskutować, niż z tak „nietaktownym" interpelantem. Dlaczego?

Bo w umysłach gospodarczych tkwi wciąż jeszcze świadoma lub podświadoma nadzieja, że kryzys się skończy, etatyzm i bolszewizm także, a wówczas otworzy się znowu pole do swobodnej ekspansji zasady bogacenia się w nieskonczoność i bezbrzeżnej, nieograniczonej progresji rozwoju gospodarczego w coraz zawrotniejszem tempie. Cóżby więc było, gdyby w obecnym, choćby bardzo długotrwałym okresie depresji, poruszonem zostało powyższe zasadnicze pytanie, sięgające wgłąb racji bytu sfer gospodar-

czych i zakwestjonowanem zostło temsmem niewzruszone dotąd tabu „wszechwładnego interesu“? Wszak i później, w owej oczekiwanej epoce swobodnej ekspansji gospodarczej, po spodziewanym upadku kryzysu i etatyzmu, zaciążyłoby oficjalnie to drażliwe pytanie nad życiem gospodarczem, a zwłaszcza nad sferami gospodarczemi i każdy już krytycznem, dobrze uświadomionem okiem patrzałby im na ręce. Wówczas więc już nie przejściowy kryzys, lub etatyzm stawiałby chwilowe przeszkody swobodnemu tańcowi dookoła złotego cielca, ale dobrze ugruntowana opinja publiczna zepchnęłaby każdego przedsiębiorcę na swe właściwe miejsce i ograniczyła z trzeźwem przekonaniem do jego właściwej roli.

Oto, czego obawia się na przyszłość najbardziej dotychczasowa dyktatura nad światem gospodarczego materjalizmu i dlatego milszym jest dla niej nawet zarządca przymusowy lub zgoła sekwestrator—jako postacie „przejściowe“ — od człowieka zimnej refleksji, stawiającego powyższe, tak niezmiernie niewygodne, aczkolwiek ściśle objektywne pytanie! Macie Panowie rację, że taki interpelant znajduje przed sobą odrazu nasrożony „zjednoczony front niechęci sfer gospodarczych“, gdyż pytanie to, chociaż dla oczywistego dobra kapitalizmu prywatnego postawione, godzi jednak w gruncie rzeczy głębiej i dotkliwiej w „system ustabilizowany“ wszelkiej mentalności gospodarczej, niż nawet bolszewicka doktryna razem ze swym aparatem przymusu, fizycznego gwałtu i czrezwyczajki. Wszak w Sowdepji, mimo całej doktryny komunistycznej, święci się — choć w swoisty sposób — idea bezbrzeżnego rozwoju gospodarczego i chociaż „narazie“ rozwój ten znajduje się niby wyłącznie w ręku kapitalizmu państwowego, to jednak sfery gospodarcze w krajach postronnych żywią nadzieję, że jego miejsce zajmie kiedyś kapitalizm prywatny i zacznie dopiero po bezbrzeżnej Rosji bezbrzeżnie się rozrastać, przygniatając nadmiarem i dyktaturą produkcji świat cały.

Z bolszewizmu więc, bądźmy szczerzy, ustabilizowana zachłanność sfer gospodarczych innych państw niezbyt wiele w gruncie rzeczy sobie robi, a wszelkie z tej strony „wyrazy oburzenia“ na gospodarkę sowiecką pozwalam sobie uważać za niebardzo szczere, chyba tylko za wyraz niezadowolenia z powodu niemożności lub trudności robienia natychmiastowych „złotych“ interesów.

W tezach zaś „Naszej Przyszłości“ chodzi o coś daleko „groźniejszego“. Nie o gwałt fizyczny, nie o chwilową ruinę, nie o przejściowo kłopotliwą doktrynę, z czem wszystkiem arcysprytny business gospodarczy ma nadzieję dać sobie stopniowo radę — ale o głęboką, trwałą z m i a n ę p r z e k o n a ń ogółu na dotychczasowy, odwieczny system ustabilizowany celów pracy gospodarczej. „Nasza Przyszłość“ żąda od sfer gospodarczych wyłożenia wszystkich, nawet najtajniejszych ich kart na stół. Domaga się absolutnej szczerości przy omawianiu racji bytu produkcji i wymiany i bezwzględnego dostosowania ich do istotnych potrzeb społeczeństwa w każdej danej epoce. Nie uznaje doktryny jakiegoś oderwanego, bezkresnego postępu gospodarczego, jako celu samego w sobie, a raczej jako celu jednostronnych korzyści dla przedsiębiorcy z zupełnem zlekceważeniem rzeczywistych potrzeb społeczeństwa. a w konsekwencji z obciążeniem tego społeczeństwa i państwa niepotrzebnym, absolutnie nieproduktywnym ciężarem podtrzymywania do upadłego wszelkiego nadmiaru rozwoju życia gospodarczego.

Stawiacie Panowie tezę: Według stawu grobla, według istotnej potrzeby produkcja i handel — a to groźniejszem wydać się musi sferom gospodarczym od bolszewizmu, który rozwojowi gospodarczemu żadnych nie stawia granic, a chce w teorji tylko demokratyzować po swojemu zyski. Bolszewizm mówi naprzykład, że olbrzymie dnieprowe zakłady elektryczne muszą powstać i muszą istnieć za wszelką cenę, byle tylko w ręku państwa — Panowie

zaś powiedzielibyście w tym wypadku: Zakłady tak ogromne, o ile mają rację bytu i zapewnioną klientelę oraz rentowność i o ile można je zbudować bez przeciążenia społeczeństwa, niech powstaną kapitałem prywatnym i swobodnnie sobie prosperują w prywatnem ręku; ale czy jest do dyspozycji odpowiedni prywatny kapitał, czy istnieją realne widoki rentowności, bez zadłużania się kredytami i czy więc przedsiębiorstwo to ma rację bytu w rzeczywistej potrzebie społeczeństwa?

Oto zasadnicza przepaść punktów wyjścia. Każdy objektywny obserwator dzisiejszych stosunków musi przyznać, że przynajmniej podświadoma mentalność prywatno-kapitalistycznych sfer gospodarczych skłania ją — mimo wszelkich różnic — raczej ku bolszewickiemu, niż ku Waszemu, konserwatywnemu, punktowi widzenia. To skromne odkrycie pozwalam sobie dorzucić, jako przyczynek do rozbudowy Waszej szkoły ekonomicznej.

Państwo zaś, a ściślej biorąc fiskalizm instytucji publicznych wszelkiego rodzaju, ustawowo uprawnionych do ściągania danin od obywateli, cieszy się z tego stanu rzeczy, z tego ślepego pędu mentalności sfer gospodarczych po linji najmniejszego oporu, a największego doraźnego zarobku za wszelką cenę, bez rozsądnej myśli o jutrze i wyzyskuje tę słabość na swą etatystyczną korzyść — również bezkrytycznie. Jeżeli prywatne sfery gospodarcze, mimo wszelkich swych głośnych frazesów za liberalizmem, nastawione są w istocie antygospodarczo i antyliberalnie, to fiskalizm publiczny, popierany przez zakostniałą naukowość, nastawiony jest w gruncie rzeczy antypaństwowo. Jesteśmy świadkami tego obustronnego paradoksu i w tym właśnie paradoksie dopatruje się „Nasza Przyszłość“ słusznie jądra złego. W konsekwencji więc obalenie obu tych paradoksów może być istotnie realnym startem do poprawy stosunków.

Słusznie bowiem twierdzicie Panowie, że obecny kry-

zys społeczno-gospodarczy wyrósł na tle danych stosunków, zapatrywań i tendencji i że więc nie można go przezwyciężyć bez uprzedniej reformy podłoża, które go zrodziło. Wydaje mi się to i jest chyba bezspornym warunkiem. Dopóki gospodarcza inicjatywa prywatna rzucać się będzie sama, po linji najmniejszego oporu, w objęcia etatyzmu i zatracać swą przyszłość dla doraźnych, krótkoterminowych, a bardzo wątpliwych korzyści, dopóki nauka o państwie i praktyka fiskalna — ustawodawcza i administracyjna—wyznawać będą starokameralną zasadę bezkrytycznego czerpania z wysychającej studni i dopóki wreszcie opinja publiczna — oficjalna i prywatna — nie otrząśnie się z absurdalnie wrogiego nastawienia przeciw uczciwemu zyskowi, a więc przeciw skuteczności i rentowności pracy ludzkiej, masakrując ją paraliżującym ciężarem danin i ograniczeń wszelkiego rodzaju, dopóty o racjonalnem gospodarstwie krajowem szkoda naprawdę mówić i pisać.

I tu właśnie pochwalam bardzo metodę „Naszej Przyszłości", że na łamach swych i w całej swej akcji propagandowej nie chce poruszać szczegółowych, aktualnych, fachowych kwestji gospodarczych, ale uderza w generalne sedno złego. Istotnie, w danych warunkach omawianie tych różnych szczegółowych zagadnień, bolączek, postulatów i eksperymentalnych paljatywów, jest rzeczą beznadziejną i jałową. Zanik warsztatów pracy, obniżenie życia gospodarczego przez etatyzację, legjony bezrobotnych i tworzenie funduszów pracy i etatystycznych zastępów armji robotniczej w kadrach „junaków" — oto realny, widoczny, namacalny rezultat współdziałania obu wyżej wymienionych paradoksów ze strony fiskalizmu i oportunistycznego nastawienia sfer gospodarczych.

Stąd też najracjonalniejszym i najpilniejszym wydaje mi się wysunięty przez „Naszą Przyszłość" postulat, aby państwo z jednej, a sfery gospodarcze z drugiej strony oddały się rozumnej refleksji nad zagadnieniem, czem właści-

wie są, poco istnieją i jaki winien być ich wzajemny stosunek w imię r z e c z y w i s t e g o — nie fikcyjnie narzuconego—dobra obywateli i państwa? Coraz więcej bowiem odnosi się wrażenie, że państwo jest uważane za jakiś fikcyjny, nadprzyrodzony cel sam w sobie, któremu jednostka i jej praca twórcza bezwzględnie mają się podporządkować, nawet unicestwić, a z drugiej strony życie gospodarcze też uważa się za egoistyczny cel sam w sobie, któremu państwo i społeczeństwo mają się także całkowicie podporządkować i bodajże unicestwić w danym razie.

Zharmonizowanie więc tych trzech pojęć — państwa, życia gospodarczego i znoszącego różne ciężary państwowe i gospodarcze obywatela — jest podstawą stopniowej normalizacji i naprawy życia gospodarczego w XX wieku, który wszystkie te pojęcia w nadmiernym wyścigu reformatorskim poplątał. Trzeba pojęcia i rolę państwa, gospodarstwa i obywatela na właściwych miejscach osadzić, aby żadne z nich nie wybujało jednostronnie, egoistycznie ponad drugie. Dopiero po rozwiązaniu — najpierw teoretycznem — tego podstawowego zagadnienia, będzie można mówić rozsądnie, szczerze, celowo i skutecznie o szczegółach.

Źle więc, samobójczo, postępują przedstawiciele sfer gospodarczych, którzy — wymawiając się swym prawdziwym lub rzekomym nawałem zajęć codziennych — uciekają od poważnej analizy zagadnień ogólnych, z krótkowzrocznem twierdzeniem, że to sprawy dla nich za mało realne, zamało konkretne. Brną przez to dalej w beznadziejnym systemie ratowania się dorywczymi paljatywami, Źle robią też prawnicy-fiskaliści, podtrzymujący z uporem po dziś dzień prastare dogmaty egzaminowe ze swych czasów studenckich. Oto prawdziwi przeciwnicy, z którymi Panowie z pod znaku „Naszej Przyszłości“ macie do czynienia. Etatyzm, czy socjalizm, same w sobie, mniej Wam będą przeszkadzać, gdyż nie są to pierwotne przyczyny złe-

go, ale raczej tylko funkcje fałszywego nastawienia sfer gospodarczych i sfer fiskalnych, które z niego powstały, z niem rosną i z niem razem mogą i muszą zginąć.

Zdrowa reforma kapitalizmu prywatnego jest zatem warunkiem przezwyciężenia komunizmu i wszelkich innych doktryn społeczno-gospodarczego wywrotu.
